



4.817
ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1612

AW GLINKA

PAMIĘTNIK Z WIELKIEJ WOJNY

NAREW — BEREZYNA

SKŁAD GŁÓWNY
GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA

PAMIĘTNIK Z WIELKIEJ WOJNY



1612

leg. 817

WŁADYŚŁAW GŁINKA

PAMIĘTNIK Z WIELKIEJ WOJNY

NAREW — BEREZYNA

SKŁAD GŁÓWNY
GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA

PAMIĘCI
DROGIEJ CÓRKI MOJEJ,
ZMARŁEJ NA WYGNANIU W ROSJI,
I
SYNOM MOIM, TOWARZYSZOM NIEDOLI,
POŚWIĘCAM

W S T Ę P.

Od chwili wybuchu wojny postanowiłem zapisywać codziennie fakty i wrażenia, i czyniłem to, z małemi przerwami, aż do wyborów do pierwszego sejmku w 1919 r. Niestety w chwili przymusowego wyjazdu naszego z Suska Starego, wraz z całą niemal ludnością Ostrołęckiego powiatu, wśród rabunku i pożaru, zaginął mi pamiętnik pierwszego roku wojny, odtworzyłem go więc dopiero w Mińsku Litewskim, za świeżej pamięci, przy pomocy notatek, które ze swej strony czyniła ś. p. Córka moja. Dalej pamiętnik prowadziłem znów stale, nie przerywając go nawet w więzieniu bolszewickiem.

Notatki te przeznaczone były jedynie dla dzieci moich i rodziny, i taki też mają charakter. Otóż w bibliotece mej w Susku, spalonej przez bolszewików w 1920 r. miałem pamiętnik pisany przez skromną nauczycielkę Angielkę, w małym miasteczku we Francji, podczas rewolucji 1789 r. i lat następnych. Była to książka zajmująca właśnie przez to, że dawała obraz życia powszedniego prowincjonalnego zakątka podczas wielkich zdarzeń dziejowych i konwulsji, które wówczas wstrząsały Francją i całą Europą.

Wspomnienie to skłania mnie dziś do wydania pamiętnika mego, na razie w dwóch pierwszych częściach, obejmujących pobyt na wsi przez rok, w bliskości frontu wschodnio-pruskiego, oraz podróż końmi od Narwi do Berezyny, wśród setek tysięcy wygnańców, pędzonych przez wielomiljonową, cofającą się na wschód, armję rosyjską. Może zainteresować kogo ta opowieść potrafi.

Jakkolwiek po latach 12-tu z konieczności uleść musiały pewnej zmianie niektóre poglądy moje na wypadki ówczesne, a również na ludzi, pozostawiam nienaruszonym tekst, nakreślony przezemnie w 1915 r.

W. G.

27 czerwca 1927 r.

CZEŚĆ I.

NA WSI.

Dnia 1 sierpnia 1914 r. byliśmy na wsi zebrani wszyscy, t. j. prócz mnie, syn mój Jan, który po odbyciu studjów filozoficznych na uniwersytecie genewskim, przerwając się był na agronomję i dopiero co przyjechał na wakacje z wydziału rolniczego Uniwersytetu w Lipsku, córka Magdalena, która, po skończeniu agronomji na Uniwersytecie Krakowskim, odbywała praktykę w Susku, pomagając mi z zapalem w gospodarstwie, drugi syn Stefan, uczeń 3 klasy szkoły im. Reya w Warszawie, panna Zofja Piętkówna, wychowawczyni Stefka, opiekunka mojej córki i serdeczna nasza przyjaciółka, oraz p. Stanisław Chyliński, również nasz dawny przyjaciel, obecnie student Wyższych Kursów rolniczych w Warszawie, odbywający u nas letnią praktykę.

Oczywiście wojna europejska nastęrczała mnóstwo przewidywań, nadziei, dyskusji, tak między nami, jak w gronie sąsiadów i znajomych. Streszczać ich tu nie będę, bo są to rzeczy obecnie przebrzmiałe, a przytem kombinacje, jakieśmy tworzyli, były z konieczności tak różnolite i zmienne, że skondensować je byłoby niemożliwem. Jedno wszakże wrażenie, najpierwsze jakie mieliśmy, a któreśmy często potem zatracali, okazuje się dotąd nieomylnem, że poza wpływem, jaki wojna ta mieć może na losy

pojedynczych państw lub narodów europejskich, znaczenie jej jest wszechludzkie, jako walki na śmierć i życie między cywilizacją zachodnią, francuską i angielską, dziedziczką kultury Aten, Rzymu i Renesansu, a niszczycielską przemocą, materialną i moralną Niemiec, wielających barbarzyńskie hasło „siła przed prawem“. Wypadek, czy ironja losu zrządziła, że w tej olbrzymiej, dla dziejów całej ludzkiej kultury decydującej rozprawie, Rosja walczy po stronie tej cywilizacji, której się rząd petersburski boi, jak morowej zarazy, a której naród rosyjski, nie rozumie i nie dowierza.

Dwie „orientacje“ polityczne ujawniły się zaraz. Wszyscy bylibyśmy radzi widzieć armję rosyjską bitą, a czynowników rosyjskich w ucieczce, lecz jedni, uważając, że zwycięstwo germanizmu byłoby ostateczną zgubą Polski, pragnęli rozgromienia Niemiec, drudzy zaś liczyli, że Niemcy pójdą na Francję, Królestwo zaś zajmie Austria, co dla Polski byłoby najpomyślniejszem. W Susku jedynie Madlenka i p. Chyliński byli tej drugiej orientacji. Moja córka przywiozła ją ze studjów uniwersyteckich w Krakowie.

Co do rezultatu wojny, zrazu przewidywaliśmy tryumf Niemiec, gdy jednak przeciw nim i Austrii ruszyło sześć państw, uważaliśmy, że pobite być muszą. Co do czasu trwania wojny, nikt nie przypuszczał, aby mogła ona nie skończyć się przed zimą.

Ostatnie tygodnie przed wybuchem wojny przygotowały do niej ludność naszą tak, że rozkaz mobilizacji nie wywołał już paniki i zapasowi spokojnie stawili się na punkty zborne. Prasa warszawska i opinja publiczna głosiły, iż lud nasz z ochotą szedł do szeregów pod hasłem walki z Niemcami. Tej pobudki w ludzie wiejskim

zupełnie nie było. Szedł on pod sztandary z bierności i z przyzwyczajenia do posłuszeństwa władzy, szczególnie wojskowej. Niejeden marzył o ukryciu się lub ucieczce, lecz pierwsze było bardzo ryzykowne, albowiem we wsi zawsze się znajdują zazdrośni, którzy ukrywającego się zadenuncjują, ucieczka zaś możliwa i łatwa od nas była jedynie do Prus Wschodnich, a więc byłaby dostaniem się z deszczu pod rynnę. Wielu słyszałem mówiących „żeby to wojna była nie z Prusakami, tobym za granicę uciekł”. Ze wsi Nowy Susk dwóch istotnie do Prus się wybrało, ale po kilku dniach wrócili i poszli do wojska. Młodzi rezerwiści jednak, przyznać trzeba, filozoficznie godzili się ze swoim losem i dość ochoczo wybierali się na wojnę, nie przez żadną „orientację“, a przez ciekawość i chęć przygód.

Agitacja narodowo-demokratyczna niebawem usiłowała antyniemiecką orientację między ludem wytworzyć, wogóle jednak polityką tylko ograniczona liczba inteligentniejszych i odczytanych włościan się interesowała. Z tych jedni poszli za prądem rusofilskim, drudzy, widząc tych samych ludzi, którzy ich dotąd do walki z rządem moskiewskim i z rusyfikacją prowadzili, przeobrażonych w zwolenników Rosji, trzymali się w rezerwie. Zwolennicy „Zarania“ też się od początku nader powściągliwie zachowywali.

Jeśli armja rosyjska, ogółem biorąc, znalazła u ludu wiejskiego dobre przyjęcie i poparcie, to pobudką tu była częścią wrodzona gościnność, częścią obawa, i wynikająca z niej chęć zdobycia sobie życzliwości żołnierzy i oficerów. Później wpływ wywarły szeroko rozpowszechnione opowieści o okrucieństwach Prusaków i o profanacji Częstochowy.

Mieszkając między dwiema szosami, o 3 wiorsty od stacji kolei, o 6 wiorst od miasta powiatowego Ostrołki i o tyleż od dużych koszar w Wojciechowicach, znaleźliśmy się odrazu wśród wielkiego ruchu wojsk. Już na kilka dni przed mobilizacją zawiadomili mnie oficerowie głuchońskiego pułku dragonów, że mają w koszarach do sprzedania kilkanaście źrebiąt kilkotygodniowych i starszych. Pojechałem je obejrzeć, jeden z rotmistrzów, rozmówiwszy się ze mną po polsku, zwrócił się po rosyjsku do młodego oficera, polecając mu oprowadzić mnie po stajniach. Oficer okazał się Polakiem, i gdyśmy, rozmawiając po polsku, obejrzeli już część źrebiąt, nagle zaczął mówić po rosyjsku. Byłem wielce zdumiony, mówiłem oczywiście dalej po polsku, on po rosyjsku, aż dopiero gdyśmy odeszli kilkadziesiąt kroków, szepnął mi: „Stał tam sztabs-kapitan, przy żołnierzach możemy mówić po polsku, ale przy oficerze niech pan będzie łaskaw mówić do mnie po rosyjsku”.

A rotmistrz, rzekłem, wszak przy wszystkich mówił do mnie po polsku.

On Rosjanin, jemu wolno, — była odpowiedź.

Nazajutrz po wypowiedzeniu wojny zjawił się w Susku strażnik z koniem w ręku i oświadczył, że koń należy do rotmistrza dragonów głuchońskich, Rozenbluma, który proponuje mi przyjąć go z warunkiem, że jeśli powróci z wojny, konia odbierze i za całkowite utrzymanie jego zapłaci, jeśli zaś będzie zabity, koń stanie się moją własnością. Strażnik był ongi rotmistrza R. ordynansem, dlatego mu na wyjeździe konia z powyższem poleceniem zostawił. Nie znałem tego oficera, ale konia przyjąłem a strażnikowi dałem piśmienny dowód, z wyszczególnieniem warunków i dodatkiem, iż żadnej odpowiedzialności

w razie choroby, lub jakiegokolwiek wypadku z koniem, na siebie nie biore. Ogier był dwuletni, bardzo wyrosnięty, niewątpliwie rasowy, zapewne po dońskiej kobyle i angliku.

Zebranie ogólne Komitetu Tow. Kred. Ziemskiego naznaczone było na 2-go Sierpnia. Nasz powiat, jako póganiczny, uważaliśmy za pierwszy teren działań wojennych, zatelegraflowałem więc do prezesa Komitetu, ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, że na zebranie przybyć nie mogę.

Po kilku dniach ujrzelśmy pierwszy aeroplan i dowiedzieliśmy się, że był francuski, a lotnikiem podobno słynny Poiret. Ukazały się niebawem i samoloty niemieckie, ostrzeliwane z karabinów przez piechotę rosyjską, lecz bez powodzenia, aż pewnego dnia udało się strącić aeroplan niżej lecący, który upadł niedaleko od granicy Suska, atoli nieszczęście chciało, że siedział w nim nie Niemiec, a Poiret! Mówili mi oficerowie, że Francuz, na szczęście żywy, był wściekły: oświadczył, że więcej armji rosyjskiej pomagać nie będzie, i odjechał.

Ostrołęckie Tow. Rolnicze, którego byłem prezesem, z wybuchem wojny stanęło na martwym punkcie, kółka rolnicze przestały się zbierać, wielu członków poszło do armji, inni byli zaprzątnięci mobilizacją koni, zajęci na podwodach i wogóle cała ludność, w przekonaniu, że wojnska niemieckie lada dzień wtargną do nas, straciła głowę, przestała nawet myśleć o żniwach.

Świeżo zgodzonego instruktora Kółek rolniczych, p. Rakowskiego, bylibyśmy chcieli zatrzymać na czas po wojnie, która podług ogólnego mniemania w kilka miesięcy zakończyć się powinna była, lecz środki naszego

Towarzystwa nie pozwoliły nam opłacać pracownika bezczynnego, ani zaś na subwencję od C. T. R., ani na wpływy żadne od Kółek nie można było liczyć, musieliśmy więc rozstać się z p. Rakowskim.

Do kas oszczędności, na poczie, przy kasie powiatowej i przy stacji kolei, zgłaszały się tłumy po odbiór wkładów. To samo było zrazu i w Ostrołęckiem Tow. Drobego Kredytu dla wsi, gdzie mieliśmy kilkakroć sto tysięcy rubli chłopskich oszczędności. Dzięki jednak zasłużonemu kierownikowi Towarzystwa, doktorowi Józefowi Psarskiemu, pęd ten ustał niebawem i zaczęły do Drobego Kredytu wracać wkłady, nie tylko dawne, ale i nowe.

Wojska napływały wciąż kolejami, szosami i boczniemi drogami. Duch w nich był niedobry. Inteligentniejsi żołnierze głośno mówili: „Japończycy nas pobili, to Niemcy pobiją jeszcze prędzej”. Intendentura funkcjonowała opłakanie: przychodziły wagony chleba zielonego od pleśni, suchary, widocznie długo w składach trzymane, były do jedzenia niemożliwe, żołnierze łupali je i pokazywali nam robaki. Mówili: „leżą w magazynach od czasu Piotra Wielkiego, gdy je wszystkie zjemy, dopiero mają być świeże“. Żyd proponował mi wagon 1000 pudowy „kwitnącego“ chleba za 200, 150, wreszcie za 100 rb. Kupiłem na próbę kilkadziesiąt pudów, ale konie, nawet po rozmoczeniu, jeść go odmówiły; kazałem go ugotować w parniku do kartofli, ale też ani konie, ani krowy tknąć go nie chciały. Ogłosiłem służbie, aby go darmo rozebrała dla świń; kilka kobiet go po trosze wzięło, lecz też, po wypróbowaniu, zrzekły się brać go więcej. Wyrzuciło go się w nawóz.

Siano i owies też kolejną nie nadchodziły, więc kupowała je armja na miejscu. Cena owsa z 90 kop. za pud

szybko podskoczyła na 1 rb. 20, 1,40 i 1,50 za pud, siana z 30 na 60 kop, za pud. Nadzwyczaj przykre były stosunki z oficerami i żołnierzami furażerami, kupującymi owies i siano: na 10-ciu, najmniej 9-ciu żądało wystawienia fałszywych pokwitowań, t. j. na cenę, lub na ilość większą, niż rzeczywista. Raz oficer, noszący na piersi znak ukończenia wydziału prawnego Uniwersytetu, kupiwszy paręset pudów owsa, przyszedł z Jankiem do domu gdzie go poprosiliśmy na herbatę. Był to młody adwokat z Moskwy, powołany do armji. Po herbacie i milej rozmowie, gdy przyszło do obrachunku, zażądał, aby mu syn mój na pokwitowaniu zamiast 1 rb. 50 kop. za pud, napisał 1 rb. 90 kop. i ogromnie był zdziwiony i oburzony, gdy Janek odmówił. Tymczasem przybiegł ze spichrza pisarz nasz Banacki zakomunikować mi, że żołnierz furażer zaproponował mu odkupić kilka czteropudowych worków z owsem, po rublu za worek. Gdy pisarz wyraził swe zdziwienie, żołnierz rzekł: „Mój oficer na tym owsie zarobi sobie ze 100 rb. to ja też powinienem zarobić choć kilka rubli“.

Niektórym furażerom wprost nawymyślałem za podobne propozycje, z oficerami położenie było nad wyraz drażliwe; trudno się zdobyć powiedzieć w oczy człowiekowi kulturalnemu, dobrze wychowanemu, oficerowi, iż jest złodziejem. Bywało, że owies kupi, furmanki z nim wyprawi, i nie chce zapłacić, jeśli mu się nie da fikcyjnego kwitu. Doszło do tego, że każdą rozmowę o sprzedaży dzieci moje i ja zaczynaliśmy od wyrażenia oburzenia, że są wojskowi bez honoru, okradający skarb. Oficer musiał potakiwać i już mu potem nie wypadało czynić nieprzyzwoitych propozycji. Jeden jednak, jakiś naczelnik ziemski z kowieńskiej, czy grodzieńskiej gubernji, nagadawszy się na oficerów złodziei, przedstawił mi kwit „in

blanco” do podpisania, i z trudnością dał się namówić, ciągle w tonie przyjacielskiej rozmowy, do przyjęcia kwitu szczegółowego.

Przechodzili u nas Kozacy Kubańscy, t. zw. Czerkiesi, konsystujący stale w Warszawie. Śliczni ludzie i prawdziwi rycerze. Esauł jeden pokazywał nam szablę starożytną, po przodkach odziedziczoną. Jeden z żołnierzy przyszedł raz do mnie o kupno owsa. Powiedziałem mu cenę i oznajmiłem, że rachunków fałszywych nikomu nie piszę, ale furazerom daję stale 2 kop. od puda z własnej kieszeni, tak bowiem urządziłem się ostatecznie, aby uniknąć, przynajmniej z żołnierzami, targów o pokwitowania. Kozak z początku nie wiedział o co chodzi, a gdy zrozumiał, zaczerwienił się i zawołał: „Jakto, jabym miał gonić za nieuczciwym zarobkiem? Gdy idę na śmierć, będę myślał o pieniądzach! Przekląbły mnie mój ojciec i dziad!”

Przeprosiłem go i wdałem się w rozmowę: dziad jego walczył przeciw Rosji pod Szamilem, ale umierając polecił dzieciom wierność carowi: ojciec odbył wojnę sebastopolską i turecką, a mój gość brał już udział w wojnie japońskiej, a potem bił się w Persji.

Po pięciu, czy sześciu miesiącach intendentura zaczęła funkcjonować znakomicie, żołnierze mieli już ciągle i w obfitości chleb, kasze różne, ryż, mięso, słoninę, herbatę, cukier, nawet masło do chleba. Dla koni też przychodziło poddostatkiem owsa i siana, kradzieże jednak musiały się praktykować dalej, tylko inaczej, albowiem razu jednego, w mej nieobecności, przyjechał do Suska Żyd ze stacji i zaproponował rządecy, p. Leonowi Węgrzeczkiemu, kupno wagonu, t. j. 1000 pudów owsa, po 1 rb.

20 kop. za pud. Żyd miał go w nocy przywieźć swojemi furmankami do Suska, a w dwa dni później, w biały dzień, odkupić po 1 rb. 50 kop., i swojemi furmankami wywieźć. Chodziło o wynajęcie mojego spichrza na 48 godzin za 300 rubli.

W kilka dni potem, będąc w Ostrołęce, udałem się do naczelnika żandarmów, von Langhammera, będącego zarazem komendantem wojennym miasta, a o którym wiedziałem, że jest człowiekiem nieskazitelnym, i opowiedziałem mu fakt powyższy. Oświadczył mi, że należało owies wziąć i tejże nocy jego zawiadomić. Obecnie, mówił, trudno złodziei odszukać, a rewizja ksiąg i dokumentów nic nie wykaże, tam bowiem wszystko jest na pewno zrobione w porządku.

Urzednicy pocztowi w Ostrołęce mówili mi, że oficerowie okoliczni codziennie wysyłają rodzinom swoim kilkanaście tysięcy rubli. Do brata mojego Antoniego przyjechał pewnego dnia oficer intendenty, prosząc o udzielenie mu pokoju na 2 dni, albowiem żona do niego ma przyjechać z Rosji, a na wsi, gdzie stoi, mieszka w jednym pokoju z kilkoma kolegami. Gdy brat mój zauważył, że musi być żona kochająca, skoro z tak daleka, narażając się na tyle niewygód, do męża na parę dni przyjeżdża, odrzekł:

„Nie panie, tu wcale nie chodzi o miłość, a o to, że, uzbierałem 10.000 rb. i z temi pieniędzmi po kieszeniach nie mogę chodzić; żona była już raz u mnie, teraz jej zatelegraowałem, aby znów przyjechała i pieniądze zabrała. Myśli pan o mnie, że złodziej, ale daję panu słowo honoru, że przed wojną nim nie byłem. Teraz jednak muszę. Gdybym nie brał pieniędzy, innym prze-

szkadzałbym przez to samo, i zgubiliby mnie, karjera moja byłaby złamana”.

Wydawało nam się niemożliwem powodzenie armji tak zdemoralizowanej, boć przecie, nie mówiąc już o dezorganizacji materialnej, jaką wnosić musi powszechne złodziejstwo, duch armji jest pierwszym czynnikiem jej zwycięstwa. Nasz przyjaciel, doktor Psarski, który dwukrotnie przebywał na zesłaniu w Rosji i tam ją dobrze poznał, twierdził stanowczo, iż pogląd nasz jest słusznym w stosunku do wszystkich narodów europejskich, lecz nie do Rosjan. Podług niego Rosjanin może miłować ojczyznę, być gotowym oddać za nią życie, słowem czuć i postępować jak człowiek szlachetny, jak bohater, a zarazem kraść. Dwie te cechy, dla nas tak bezwzględnie nawzajem się wykluczające, w jego duszy mogą się mieścić razem, nie wywołując wewnętrznego zgrzytu. Zdaje nam się to paradoksem, a jednak kto wie, czy nie zawiera części prawdy. Między światopoglądem nietylko czynowników, ale najprzedniejszych pisarzy rosyjskich, a naszym, stwierdzamy co chwila taką przepaść, dusza ich jest tak obcą nietylko dla nas, lecz dla każdego człowieka zachodu, że kto wie, czy nie jest możliwe współzycie w niej rzeczy, w naszym pojęciu tak sobie przeciwnych, jak ogień i woda.

Odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, nie zrobiła wśród ludu wiejskiego wrażenia. Przywykł on obietnicom nie wierzyć. Myśmy również zapatrywali się na nią sceptycznie, jednak uważaliśmy ją za dobry początek.

Po porażce generała Samsonowa w Prusach Wschodnich, część niedobitków cofała się przez Ostrołękę i Susk. Oplakany to był widok. Artylerja i obozy uciekały bezładnie, pojedynczy żołnierze biegli bez czapek, niektórzy

pędzili oklep na chłopskich koniach po drodze złapanych. A przecież od granicy, której Niemcy w pogoni nie przekroczyli, było z górą 40 wiorst.

Chłopi nasi, którzy z armją Samsonowa byli w Prusach na podwodach, opowiadali nam, że Kozacy sami wszczęli popłoch, galopując i krzycząc na trwogę, a gdy się obozy zaplatały i zatarasowały, rozbijali skrzynie z pieniędzmi i wypychali sobie kieszenie. Więcej niż stu gospodarzy, z pomiędzy wziętych wówczas na podwoły z naszego powiatu, nie powróciło. Zginęli, czy dostali się do niewoli, niewiadomo. Od jednego, z parafji Goworowskiej, nadszedł po kilku miesiącach list z Francji, lecz nie pisał, czy był przez Niemców wcielony do wojska, czy też tylko użyty do robót przy okopach. W każdym razie był wzięty przez Francuzów do niewoli na froncie.

O jenerale Samsonowie jedni oficerowie mówili, że sobie odebrał życie, drudzy, że oficer kozacki palnął mu w łeb. Zresztą wszyscy twierdzili, że porażce nie Samsonow był winien, a podwładny mu jenerał Artamonow.

Rozeszły się już wtedy wszędzie wieści o okrucieństwach Niemców w kraju zdobytym, ludność więc żyła w trwodze. Jednego popołudnia jakiś człowiek, jadący z Ostrołęki, krzyknął koło mieszkań służby „Prusak w mieście rżnie ludzi”. W 10 minut wszyscy nasi robotnicy, pracujący w polu, byli wraz z końmi, wozami i pługami na podwórzu. Zrobił się zgiełk, lament nie do opisania; kilka kobiet, w przystępie jakiegoś obłędu, targało się po ziemi, wydając dzikie krzyki, inne wyrzucały z mieszkań pościel, ubranie, i zwiły je gorączkowo w toboły; najstarsze na klęczkach, lub leżąc krzyżem, zawodziły na całe gardło litanje. Tymczasem dróżką od Ostrołęki widać było, pod słońce, dziesiątki ludzi pędzących

wozami i pieszo w szalonych susach, wśród kurzu, z tobołkami na plecach.

Z trudnością uspakajaliśmy ten zwarjowany tłum, perswadując, że Prusak nie może tak niespodzianie się zjawić, a choćby się zjawił, toć nie będzie bez powodu rżnął spokojnych ludzi. Nareszcie, jako że Prusak się istotnie nie pokazywał, robotnicy nasi się uspokoili, kazałem więc zaprządz do linijki, podjechałem z córką pod mieszkania służby i oznajmiłem, że jedziemy na łąki do zaczętych stogów potrawu, czekać na ludzi. Po chwili ujrzelśmy podążające za nami najpierw dziewczyny, potem chłopców, dalej starszych, wkrótce zadudniały wozy i ruszyły pługi...

W listopadzie na froncie naszego powiatu Niemcy się cofnęli i wojska rosyjskie weszły do Prus Wschodnich na kilkadziesiąt, podobno do stu wiorst. Przez dwa miesiące grasowały one w Prusach, rabując co się tylko dało. Oficerowie zaopatrywali się szczególnie w ekwipaże i pianina. Bryczek używali do jazdy i handlowali niemi, lecz prawie nikt z cywilnej ludności kupować ich nie chciał. Karety, powozy i pianina wysyłali wojskowi do Rosji. Widziałem na stacji kolejowej po kilkanaście opakowanych pianin, oczekujących ekspedycji. Ofiarowano mi jedno z nich, podobno zupełnie nowe, za 18 rb.

Przyszedł raz przy mnie na stację pociąg naładowany wojskiem. Ledwie stanął, ze wszystkich wagonów zaczęli żołnierze częstować publiczność zrabowanymi rzeczami, przy mnie ktoś kupił porządne palto letnie za 60 kop zegarek srebrny z dewizką za 3 rb. 50 kop., parę dużych portjer za 75 kop. i t. d. Nazajutrz opowiadali mi ludzie ze wsi Grucele, położonej przy samej linii kolejowej, że ten sam pociąg przystanął naprzeciwko wsi, ale gdy się

zbiegli ciekawi i zaczął się handel, wyskoczył z wagonu oficer, podszedł do ludzi i szepnął po polsku: „Bójcie się Boga, nie kupujecie tych rzeczy, to wszystko krzywda waszych braci, Polaków, katolików! To nie Prusakom zabrane, a zrabowane naszym w Grajewie”.

Za wojskiem poszły do Prus na rabunek z początku jednostki, potem coraz liczniejsze zastępy naszej ludności. Przywozili narzędzia rolnicze, młocarnie konne, młynki, wialnie do zboża, bryczki, meble, dywany, zegary, sztuki sukna i jedwabiu, ubrania, nawet suknie balowe i ślubne. Niektóre rzeczy zatrzymywali dla siebie, większość sprzedawali za bezcen. Prowadzono też konie i krowy, nie-raz niezłą sztukę można było kupić za kilkanaście, a nawet za kilka rubli. Ogrodnik nasz kupił przy mnie od artylerzysty za 10 rb. tegiego trzyletniego wałacha, za którego w kilka dni potem wziął 90 rb.

Wojsko pędziło mnóstwo wielkich, pięknych krów czarno-srokatych, wschodnio-pruskich. Kilku z naszych sąsiadów wymieniło je na swoje, na wagę, i przyszli tym sposobem do cennego materiału hodowlanego. Krytykowano ten proceder, ja z niego korzystać nie chciałem, uważałem jednak, że niema w tem wielkiej zbrodni, jeśli się wspaniała krowę rasową, choćby zrabowaną, lecz skazaną na rzeź, wymieni funt na funt na inną, na mięso tak samo dobrą, a pod względem hodowlanym nic nie wartą.

O formowaniu przez Gorczyńskiego t. z. „polskich legjonów” w służbie rosyjskiej, dowiedziałem się w Ostrołęce od naczelnika powiatu, który mi pokazał urzędowe zawiadomienie, otrzymane w tej sprawie. Podobno paru młodych ludzi ze stacji, synów urzędników kolejowych, wstąpiło do legjonów, poza tem nie słyszałem, aby się

kto w powiecie naszym zapisał. Wielu poborowych pragnęło zostać legionistami, ażeby, jeśli im trzeba wojować, czynić to wśród swoich, lecz wstęp do legjonu dla powołanych już do szeregów był wówczas zamknięty.

W gminach naszego powiatu, położonych przy granicy, był już cały szereg wsi przez działania wojenne zniszczonych i organizacja pomocy bezdomnym była nieodzowną. Grono mieszkańców Ostrołęki pragnęło zawiązać komitet dla niesienia pomocy ofiarom wojny, lecz władze powiatowe upoważnienia swego odmówiły. Zebrani u mnie pp. Aleksander Łżycki z Czarnowca, ks. Lissowski, wikarjusz ostrołęcki, ks. F. Nowakowski, wikarjusz rzekuški, dr. Józef Psarski, Stanisław Nosek, gospodarz z Troszyna, syn mój i ja, postanowiliśmy zawiązać powiatowy Komitet Obywatelski. Syn mój pojechał do Warszawy, do Centralnego Kom. Obyw., po informacje, jak mamy postąpić. Przywiózł nam instrukcje podpisane przez p. Essena, pełniącego wówczas obowiązki warszawskiego generał-gubernatora, a będącego urzędowym prezesem C. K. O., oraz pełnomocnictwo na moje imię do organizowania w gub. Łomżyńskiej Komitetów Obywatelskich.

Z tym dokumentem w ręku udałem się do Łomży. Gubernator, p. Papudogło, któremu okazałem papier Essena, przyjął mnie bardzo uprzejmie, oświadczył, iż cesarzowa Aleksandra Teodorówna specjalnie się Komitetami Obywatelskimi interesuje, tak, że o zawiązaniu każdego ma gubernator jej komunikować. Obiecał polecić naczelnikowi powiatu udzielić nam wszelkiej pomocy.

Uważając za wskazane zainicjować równocześnie powstanie Komitetów Obywatelskich w innych powiatach, prosiłem poprzednio listownie prezesa Dyrekcji Sześćłowej T. K. Z., p. Antoniego Kuberskiego, o zaproszenie

w tym celu pewnej liczby obywateli. Stawili się, o ile pamiętam, p.p. Józef Jabłoński, Marcin Grobicki, Stanisław i Józef Lutosławscy, Czesław Kuberski, Tadeusz Woyczyński i Ludwik Choynowski syn. Zaproponowałem, założenie, oprócz Komitetów powiatowych, gubernialnego, aby uprzedzić założenie go z urzędu przez gubernatora. Obecni wahali się, ostro przeciwko moim propozycjom wystąpił p. Jabłoński, uważając Komitety u nas za zupełnie zbyteczne. Stało na tem, że zebrani polecili p.p. Jabłońskiemu, Woyczyńskiemu i St. Lutosławskiemu pojechać do Warszawy do C.K.O., sprawę tę ostatecznie omówić. Wkrótce potem otrzymałem od Jabłońskiego zaproszenie do Łomży na zebranie organizacyjne K. O. gubernialnego i powiatowych. Na posiedzeniu tem nie byłem. Prezesem urzędowym Komitetu Gubernialnego musiał być gubernator, wiceprezesem został Jabłoński, sekretarzem Józef Lutosławski.

Podług instrukcji C.K.O., Komitety Obyw. zawiązywały się drogą inicjatywy grupy osób i kooptacji. Myśmy pragnęli, w miarę możliwości, dać Komitetowi Ostrołęckiemu charakter organizacji z wyboru. Przewidywaliśmy, iż Komitety w przyszłości mogą być, siłą wypadków politycznych, powołane do funkcji szerszych, niż samo niesienie pomocy ofiarom wojny. Zaprosiliśmy więc mieszkańców powiatu na zebranie, które się odbyło w Ostrołęce, w teatrze, przy udziale kilkuset mieszczan, obywateli ziemskich, włościan i drobnej szlachty. Przyszło na nie też kilku Żydów. Wyborów dokonać pisanemi kartkami okazało się trudnem, odbyły się więc drogą proponowania ustnie kandydatów i akceptowania ich, lub nie, przez aklamację. Wybrani zostali: St. Budny z Pokrzywnicy, Al. Iżycki z Czarnowca, Antoni Glinka ze Szczawina,

W. Andlauer z Grodziska, Ad. Łukasiewicz z Borawego, dr. Józef Psarski, ks. Lissowski z Ostrołęki, ks. Sławiński z Kadzidła, ks. Nowakowski z Rzekunia, Zaleski z Zabiela, Stan. Nosek z Troszyna, L. Wojsz z Wojszów, Dumala z Malinowa, Jan Glinka i Władysław Glinka. Ci członkowie wybrali z pomiędzy siebie prezydjum następujące: prezes W. Glinka, wiceprezes Stanisław Budny, skarbnik dr. Józef Psarski, sekretarz Jan Glinka. Niezwłocznie zorganizowaliśmy Komitety we wszystkich gminach, a w Ostrołęce Miejski, do którego weszło trzech Żydów. Prezesem Komitetu Miejskiego został wybrany ks. Lissowski.

Nad działalnością naszego Komitetu rozwodzić się nie będę. Komitety Obywatelskie Królestwa Polskiego znajdują niewątpliwie w przyszłości swego historyka. Przytoczę jednak niektóre fakty i dane, dotyczące naszego powiatu.

Z części powiatu Ostrołęckiego, położonej po prawej stronie Narwi, Żydzi zostali w kilka tygodni po wybuchu wojny wysiedleni administracyjnie co do jednego, zamożniejsi pojechali dalej, a biedaków setki rodzin osiadły w Ostrołęce i bliskiej okolicy. Zwrócili się więc Żydzi miejscowi do Kom. Obyw. o pomoc dla tych bezdomnych.

Było postanowionem uwzględniać potrzeby ludności żydowskiej tak samo, jak chrześcijańskiej, lecz o ileby Żydzi, poza organami Centr. Kom. Obyw., otrzymywali zapomogi z innych źródeł, niedostępnych dla chrześcijan, właśnie równouprawnienie byłoby naruszone i ludność chrześcijańska upośledzona. Na moje zapytanie w tej sprawie, Żydzi odpowiedzieli, że istotnie, zaraz po wysiedleniu ich współwyznawców z za Narwi, przyjechał delegat żydowski z Moskwy i przywiózł dla bezdomnych Żydów

5000 rb., a następnie przyjechał delegat komitetu żydowskiego z Petersburga, doręczył gminie żydowskiej 1500 rubli i przyrzekł takąż sumę przysyłać co miesiąc. Pomoc ta była poważną, lecz jeszcze niedostateczną dla masy nagromadzonego w okolicy żydostwa, zwróciliśmy się więc do C. K. O., który wyasygnował nam na razie 1000 rb., specjalnie dla najbiedniejszych wysiedleńców Żydów; za tę sumę nabyliśmy kartofli i odstawiliśmy je gminie żydowskiej.

Stosunki naszego Komitetu z Żydami były do końca nader poprawne. W kilka miesięcy po założeniu Komitetów, jeden z Żydów, członków Miejskiego K. O., Enoch Flakser, dał mi do przeczytania list pisany po rosyjsku na maszynie, do rabina ostrołęckiego przez rabina łomżyńskiego, w którym ten ostatni donosił, iż Komitet Obywatelski Gubernialny oddał do jego dyspozycji pewną sumę specjalnie do podziału między biednych Żydów miasta Łomży i miast powiatowych. Żydzi ostrołęccy, mówił mi p. Flakser, uchwalili, że skoro ludność żydowska korzysta z pomocy Komitetów Obywatelskich miejscowych, nie powinna z pieniędzy, pochodzących od Komitetu Obyw. łomżyńskiego, poza naszymi plecami korzystać. Komitet Obywatelski łomżyński powinien, ich zdaniem, pieniądze rozdzielać nie przez rabinów, a przez Komitety Powiatowe.

Wszystkie nasze Komitety Gminne i Miejskie urządziły zbieranie składek. Przeważnie zajęli się tą kwestą księża. Gminy nie dotknięte dotąd wojną zebrały, przy pierwszej zaraz składce, po 600 do 2000 rb. każda. Pieniądze przelewano do Kasy Komitetu Powiatowego, który asygnował sumy potrzebne Komitetom Gminnym. Gdy wypadło większą sumę użyć specjalnie dla ludności

żydowskiej, zwracaliśmy się o nią do Centralnego K. O., albowiem zaczerpnięcie jej z pieniędzy zebranych po parafjach mogło wywołać niezadowolenie u włościan i drobnej szlachty, a tem samem zatamować dalszy napływ składek.

Miejscowe władze administracyjne z wielkiem niedowierzaniem odnosiły się do Komitetu. Naczelnik powiatu Blumenfeld, uczciwy i spokojny człowiek, lecz bardzo słaby, podlegał wpływowi naczelnika sfraży ziemskiej, Kasatkina, a następnie komisarza do spraw włościańskich, Kirjanowa. U gubernatora Papudogły znajdowaliśmy naogół poparcie, ale i jego ustawicznie skłaniali jego podwładni do wydawania rozporządzeń, mających na celu uszczuplenie zakresu działania i samodzielności Komitetów. Skorośmy jakąś ważniejszą sprawę podnosili, przychodził rozkaz utworzenia, dla zajęcia się nią, specjalnych Komisji Gminnych, zależnych nie od Komitetu Obywatelskiego, a od administracji. Tak było z kwestją protokulowania szkód, poniesionych przez ludność wskutek działań wojennych, ze sprawą sanitarną, z akcją żywnościową i nasienną. Doszło do tego, że w każdej gminie, oprócz Komitetu Obywatelskiego, było po cztery komisje, utworzone przez wójtów i pod ich kierownictwem, na rozkaz naczelnika powiatu. W rzeczywistości jednak gminiaci do wszystkich tych komisji wybierali zawsze członków miejscowego Gminnego Kom. Obyw., wójt zaś prezydjował im tylko „de nomine“, a „de facto“ wszystko prowadził Komitet Obywatelski.

Do zbioru kartofli i buraków bardzo było trudno o ludzi, albowiem po wsiach, zamiast mężczyzn, wziętych do wojska lub na podwody, roboty polne wykonywały kobiety. Bawiąc w Warszawie, córka moja zgodziła 40 robotników i robotnic po 10 rb. miesięcznie i życie

(chleb, mąka, kasza, słonina, mleko, sól, mydło). Byli między nimi zecerzy, mechanicy, mularze, kwiaciarki, szwaczki, koronkarki i t. p. Motyki w ręku nigdy żadne nie trzymało, a odziani byli leciutko, w słomiane kapelusiki, smokingi, batystowe bluzki i lakierowane pantofelki. Zaraz na wstępie pokłócili się między sobą i pobili, dziewczyny się podrapały, pogryzły! Musiałem kilkanaścioro odprawić, a reszta pozostała prawie do Bożego Narodzenia. Po pewnym czasie do roboty się wprawili, tylko zimno cały czas im wielce dokuczało.

W chwili pierwszego najścia Niemców na Warszawę, słyhać było w Susku kanonadę z pod Osowca, Warszawy, Przasnysza i Dęblina. Nigdy nie bylibyśmy przypuszczali, aby odgłos dział tak daleko mógł się dać słyszeć. Warszawiacy, którzy do nas ze stolicy przed hukiem armat uciekli, byli przygnębieni, a widok aeroplanów niemieckich przerażał ich. Bardzo się prędko jednak z tem oswoili, widząc obojętność naszych ludzi. Pamiętam, jak jednego popołudnia, gdy huk dokoła horyzontu był szczególnie głośny, a nad głowami naszymi warczały samoloty parobcy i dziewczyny, stawiający ostatni, zapóźniony stóg potrawu, wesoło żartowali i doweipkowali na temat Niemców, okrążających nas ze wszech stron. Już wtedy od Kurpi, których kilkadziesięcioro mieliśmy u kopania kartofli, a którzy za Narwią znajdowali się krócej lub dłużej pod Niemcami, słyszałała ludność, iż nie tacy oni straszni, jak ich zrazu malowano.

Zdawało się wówczas, że do nas Niemcy wejdą lada chwila. Od strzałów osowieckich i przasnyskich ziemia drżała, szyby dzwoniły wciąż w oknach. Co wieczór, idąc spać, mówiliśmy sobie: czy też jutro rano, gdy się obudzimy, nie ujrzymy przez okna pikelhauby?

W początku grudnia pierwszy raz od wybuchu wojny pojechałem do Warszawy. Jechałem koleją 17 godzin, zamiast normalnych czterech. W Warszawie nastrój był wciąż jeszcze radosny po odparciu Niemców. Panie złożyły się na ofiarowanie generałowi Ruzskiemu, jako zbawcy Warszawy, szabli honorowej, generał jednak odwlekał jej przyjęcie. Pewnego dnia spotkałem w Klubie Myśliwskim kilku znajomych, już ubranych na uroczystość wręczenia szabli, mającą się odbyć tegoż dnia, tymczasem nadeszła wiadomość, iż jen. Ruzski zmuszony był niespodziewanie odjechać do armji. Obawiał się widocznie, aby z nim nie było tak, jak z obrońcą Portu-Artura, jen. Stoesslem, któremu przedwcześnie cesarz Wilhelm ofiarował złotą szablę.

Legjony Gorczyńskiego, po krótkiej chwili sztucznej popularności, straciły ją całkowicie. Wielu, którzy się do nich nieopatrznie zapisali, żałowało już tego gorzko. Warszawa, jak i kraj cały w swej większości, pragnęła zwycięstwa Koalicji, niestety Narodowa Demokracja, ze względu na naszych zachodnich aliantów, przesadzała w swych manifestacjach sympatji dla Rosji, a to wywoływało niesmak i reakcję. Komitet Narodowy, sztucznie wytworzony, niezupełnie właściwie dobrany, nie miał uznania i powagi, w stolicy ani w kraju.

O galicyjskich legjonach Piłsudskiego na wsi u nas głucho było. W Warszawie od ziemian z południowych gubernji Królestwa słyszałem o nich niepochlebne rzeczy. Podobno w Galicji cieszą się poparciem nawet kół konserwatywnych, i to właśnie było i jest dla nas niezrozumiałem, boć naprawdę są to bojówki socjalistyczne.

W drugiej połowie grudnia skończyło się hulanie w Prusach Wschodnich. Odrazu zabrakło mięsa dla armji

i cena bydła podniosła się o 25, a wkrótce o 50%. Po wykupieniu przez wojsko i przez żydów bydła, jakie było do sprzedania, zaczęły się po wsiach gwałty.

Kilka razy zajeżdżali do nas żołnierze i grozili, że jeżeli się owsa lub siana nie sprzeda dobrowolnie, wezmą je siłą, lecz nigdy do tego nie doszło. Razu jednego przybiegł do mnie rządcą, p. Węgrzecki, z oznajmieniem, iż dwaj żołnierze żądają otworzenia im spichrza, aby wziąć owsa. Poszedłem na podwórze i oświadczyłem im, że owsa nie mam i spichrza nie otworzę. Rzeczywiście owsa na spichrzu nie było, nie chciałem jednak ulegać przemocy. Na ich groźbę, że drzwi wyłamią, zawołałem na stelmacha: „Dajcie no tym żołnierzom siekiere, to popatrzymy, jak będą rąbali drzwi od spichrza“. — „Wiemy że owies macie, a chowacie go dla Niemców!“ — odpowiedzieli, a ja na to: „Tak, mam na spichrzu 1000 pudów owsa, a na gromadzie siedzi cesarz Wilhelm!“ Odszedłem i zacząłem jeść obiad, gdy telefonuje mi pani Węgrzecka, że żołnierze przyszli do mieszkania i męża jej gwałtem za kołnierz do spichrza ciągną. Pobiegnąwszy na ratunek, zawołałem: „Niech mi pan da klucz od spichrza“, a schowawszy go do kieszeni, rzekłem do żołnierzy: „Widzicie, że klucz ja sam wziąłem, dajcie więc panu spokój, a jeśli chcecie czynić gwałt, to przyjdźcie do mnie“. Żołnierze po mojem odejściu mruknęli tylko: — „otczajannyj, nie boitsia“, i odeszli.

Wogóle krzywdy największe spadały na drobną własność. Jednak i po dworach rabunki były na porządku dziennym, lecz Susk w ciągu całego roku wojny był pod tym względem szczęśliwy. Oficerowie i żołnierze, a szczególnie Kozacy, zawsze, wstępując w granicę majątku, pytali się, czy właściciel nie jest Niemcem. Doszliśmy

do przekonania, że nazwisko nasze, z powodu imienników Rosjan, zajmujących wysokie stanowiska, oraz kompozytora Glinki, autora „Żyźni za Caria”, osłaniało nas. Sąsiad nasz, pan Andlauer, chociaż Alzateczyk i był officer francuski, niewątpliwie z powodu niemieckiego brzmienia nazwiska podlegał nieustannym, oburzającym nadużyciom.

W drugiej połowie stycznia 1915 roku ruch wojsk wzmógł się jeszcze. Dotąd nie mieliśmy jeszcze w domu kwaterunków wojska, lecz od tej chwili aż do naszego zniszczenia, t. j. do 3 sierpnia, dom nasz stał się prawdziwym hotelem, gdzie nieustannie defilowały sztaby i różne „części“. Raz tylko w końcu Wielkiego Tygodnia, nie mieliśmy gości przez całe cztery dni.

Najpierw zjawiła się gwardja, generałowie: Hertzig, von der Brinken i, zdaje się, Burman. Po wzajemnej prezentacji, jeden z officerów, Rosjanin rodowity, czyniąc alluzję do ich niemieckich nazwisk, szepnął mi: „wot rus-skije generały!“ W sztabie tym znajdował się Polak, p. Malewski, który swoją uprzejmością złagodził nam pierwsze przykre wrażenie zajęcia całego domu, bo nawet w salonie spało 8-miu officerów, w bibliotece 5-ciu czy 6-ciu, w jadalnym pokoju i buduarze tyłuż. Zresztą i generałowie i officerowie byli doskonale, przeważnie wykwintnie wychowani i delikatni. Bawili niecałą dobę, mówili, że idą znowu wielkimi siłami na Wschodnie Prusy. Nie wiemy ściśle, rzekł mi generał Hertzig, ile tam Niemcy mają wojska, ale nas idzie tyle, że ilekolwiek się ich okaże, damy sobie z nimi radę.

Istotnie szły i szły wciąż nowe wojska ku granicy, ku Myszyńcowi i ku Łomży. Nocował u nas pułk dragonów, z dowódcą Jurjewem, który kazał w nocy wyrzucić ze stajni, w mróz i zadymkę, wszystkie moje ko-

nie, a swoje postawić. Był ten pułkownik bardzo srogi dla żołnierzy, ci jednak go ubóstwiali, bo mówili, że do ataku idzie zawsze pierwszy pod kulami. Słyszałem później, że pod Łomżą, oglądając przyniesiony mu granat niemiecki, miał urwaną rękę. Była potem znów gwardja, z jenerałem Czerniawinem i baronem Baudet, oraz pułkownikiem Lutze. Razem z nimi zjawił się znany nam już adjutant Janusz Cybulski, z którym się serdecznie zbliżyliśmy. Między innemi epizodami wojennemi, opowiadał nam pan Cybulski, jak przed kilku miesiącami, przy wyjściu wojsk rosyjskich z Chorzeli, nad granicą, usłyszał w kościele dźwięki organów. Pomyślał, że to chyba organista zwarjował, zeskoczywszy więc z konia, wbiegł na chór. Tam ujrzał grającego kolegę oficera: czar tonów, rozlewających się po nawie, uniósł obu, na chwilę, daleko od huku armat i niebezpieczeństwa! Oprzytomniał jednak p. Cybulski, pociągnął towarzysza, a gdy opuszczali miasteczko, już dokoła nich pękały niemieckie szrapnele i buchały pożary.

Wszyscy stawali u nas jedną, dwie, najwyżej trzy doby, a przesunęło się sztabów i oddziałów tyle, iż pamiętać ich nie mogę. Przychodziło mi na myśl notować je, lecz było to niebezpieczne, albowiem, gdyby znaleziono u mnie taką notatkę, mógłbym być oskarżony o zbieranie wiadomości dla Niemców. I tak już dowiedziałem się, iż znaczna ilość książek niemieckich w naszej bibliotece i fotografie Wilhelma i Franciszka Józefa w albumie, zresztą między podobiznami innych monarchów, budziły kilka razy podejrzenia.

Część wojsk jechała ku Łomży i dalej koleją, lecz większość posuwała się kónno lub pieszo. Ogromną litość budzili żołnierze, brnący po błocie lub śniegu. Znaczny

procent ich miał odmrożone nogi i ci kroczyli z wielką trudnością, jęcząc z bólu. Chociaż im dano postój, nie zdejmowali butów, mówiąc, iż razem z niemi ściągnęliby skórę z nóg. Istotnie u kilku, którzy nie wytrzymali i w stajni zdjęli obuwie, widziałem nogi w stanie okropnym: przedstawiały jedną krwawą ranę. Oświadczyli oni, że choćby mieli iść pod sąd wojenny, dalej nie pójdą, i rzeczywiście zostali. Ciekawi byliśmy, co z tego wynienie, tymczasem pułk ich po trzech dniach wracał znów przez Susk z Łomży do Ostrołęki, przyłączyli się więc do niego.

Pewnego poranku przyjechał do Suska samochodem Stefan Tyszkiewicz, syn hr. Władysława z Landwarowa, bardzo dzielny młodzieniec zaledwie 20-to letni, wydelegowany przez Czerwony Krzyż dla urządzenia między innymi na stacji Ostrołęka punktu opatrunkowego i odżywczego dla rannych. Odkonane się zebranie u d-ra Psarskiego na stacji, grono pań podjęło się pomagać siostrom miłosierdzia, które miał przysłać Czerwony Krzyż. Hr. Tyszkiewicz przyjechał jeszcze powtórnie, przysłał namioty wojskowe i całą instalację. Duże zasługi przy zakładaniu, a następnie przy funkcjonowaniu punktu, położył niestrudzony doktor Psarski i jego małżonka. Panna Piętkówna i Madlenka kilka razy na tydzień odbywały dyżury.

Miedzy rannymi często byli żołnierze niemieccy. Wszyscy byli zadowoleni z dostania się do niewoli, i istotnie w tym okresie Niemcy poddawali się setkami na naszym froncie. Przeważnie byli mizerni, przygnębieni. Gnano ich codziennie partjami po kilkudziesięciu lub kilkuset, pieszo, szosą ku Ostrowiu. Raz na stacji widziałem kobietę jeńca, wysoką, tęgą Niemkę z siwymi włosami. Oboje z mężem strzelali do Rosjan z okien swego domu.

Opowiadali mi chłopci podwodziarze, że gdy oboje wzięto, mąż, brzuchaty, czerwony Prusak, nie chciał iść, rzucił się, kładł na ziemię, wymyślał, aż go oficer kazał zawlec pod drzewo, do którego miano go przywiązać, ale on, zrozumiałwszy o co idzie, wyprostował się sam i czekał aż go salwa położyła trupem.

Z gmin Wach i Myszyniec, gdzie wrzały boje, chronili się często do nas zbiegowie, Szczególnie gorące walki rozgrywały się we wsiach Kierzek, Jazgarka, Zdunek. Zachowanie się Niemców czasem było bardzo ludzkie, a czasem okrutne, widocznie według okoliczności lub charakteru dowódców. Jedna rodzina Kurpi mówiła nam, iż Niemcy, podpaliwszy ich wieś, łapali ludzi uciekających i wrzucali w ogień. Inni opowiadali, jak po bitwie sanitariusze rosyjscy, zbierający rannych, nie chcieli brać jakiegoś Niemca, uważając, że jest za ciężko ranny. Niemiec błagał ich nadaremnie, a gdy odeszli, podezwołał się, trzymając jedną ręką swe wnętrzności, pod chałupę, powstał i zapalką podpalił słomiany dach. Gdy mu ludzie chcieli przeszkodzić, zaczął strzelać z brauninga. Powlókł się tak samo do drugiej chałupy i do trzeciej, Podpaliwszy третią, stracił resztę sił, „Przewalił się, mówili Kurpie, i zdechł, wciąż przeklinając po swojemu“.

W innych wsiach, podług opowiadań ludności, zachowywali się Niemcy bardzo łagodnie, za wszystko płacili. W dużej wsi Lipniki bawili przez kilka tygodni, nawet kury nikomu nie ukradli, Gdy się pewnego dnia pojawili niespodziewanie Rosjanie, Niemcy wywiesili białe flagi, a skoro się Rosjanie zbliżyli, przyjęli ich ogniem. Cała wieś poszła z dymem, a część ludzi z inwentarzem schroniła się do Suska. Wieś Kadzidło zajmowali Niemcy za pierwszym razem koło tygodnia, byli

bardzo grzeczni, z ks. kanonikiem Turowskim i ks. Sławińskim rozmawiał jeden z oficerów po łacinie. Na odjeźdźnym jednak „skonfiskowali“ im platerowane noże, łyżki i widelce.

Gdy nam Kurpie opowiadali o swoich przejściach, często nie rozumieliśmy o kim mówią; otóż pokazało się, że dla nich „nasze wojsko“ jest to, które zajmuje w danej chwili okolicę. Nazywali więc naprzemian „naszem wojskiem“ Rosjan i Prusaków.

Z wojsk przechodzących u nas najwięcej nam się podobały syberyjskie, tak swoim zdrowym, przystojnym wyglądem, jak inteligencją i całym zachowaniem się prostych żołnierzy. Każdy umiał czytać i pisać, mówił z dumą o Sybirze, dziwił się, jak nasi chłopcy żyć mogą w tak ciasnych i brudnych chatach. Wogóle Sybiracy, na równi z gwardją, uważani byli i sami mieli się za kwiat armji. We wszystkich oddziałach byli Polacy, wysłani przed wojną, jako rekruci, na służbę do Syberji.

Raz przyjechał młodziutki syberyjski oficer, szukać kwatery dla swego sztabu. Widząc, że mi trudno wysłować się po rosyjsku, zapytał, czy życzę sobie mówić po francusku, czy po niemiecku. Rozmawialiśmy więc dalej po francusku, a przy herbacie dowiedzieliśmy się, że pochodzi z Władywostoku i przed wojną nigdy nie był w Europie.

Duch wojska na wiosnę 1915 roku zmienił się, stał się wogóle bardzo dobry. Wszyscy pewni byli zwycięstwa. Kilka razy zjawiali się u nas oficerowie i żołnierze wprost z pozycji, opowiadali z zapalem szczegóły ataków nad Szkwą, Omulwią, Orzycem. Do boju powracali ochotczo. W W. Księciu pokładali wszyscy zaufanie nieograniczone, wszelkie niepowodzenia przypisywali żołnierze

oficerom Niemcom, cytowali niemieckie nazwiska dowódców i ubolewali, że jeszcze są w armji.

Niemcy nadużywali białych flag jako podstępu wojennego. Wołyński pułk gwardji, kilka razy tego doświadczywszy, poprzysiągł sobie, że żadnego Niemca żywcem brać nie będzie, i rzeczywiście odtąd, nie uważając na białe flagi, mordował poddających się. Rzecz oparła się o wyższą komendę, Wołyńcy otrzymali rozkaz umitygowania swej srogości, lecz odpowiedzieli: „Niech z nami robią, co chcą, niech nas wszystkich rozstrzelają a Niemcowi żadnemu życia nie darujemy“. I tak też dalej czynili.

Zaopatrzenie armji kolejami było wówczas znakomite, żywności i furażu miało wojsko wbród, owsa ani siana od nas nie kupowało, nie było więc już okazji do dyskusji nad fikcyjnymi cenami, i to nasze stosunki z oficerami pozwalało utrzymać na stopie towarzyskiej, dobrego wychowania i wzajemnej uprzejmości. Nieraz zastanawialiśmy się nad tem, czy ci sami dżentelmeni, gdyby coś kupowali, proponowaliby, jak przed półrokiem ich koledzy, fałszowanie pokwitowań.

Po pewnym czasie zaczęły stawać u nas obozy, i te zatrzymywały się dłużej. Oficerowie zajmowali od 3 do 5 pokoi, oraz jedną kuchnię, żołnierze lokowali się w oborach i mieszkaniach służby, wozy stawały na podwórzu, konie częścią pod gołym niebem, częścią w oborach i stajniach. Zresztą ani od wojsk linjowych, ani od obozów, nie doznawaliśmy żadnego gwałtu, ani szkody. Jeśli żołnierze coś przeszkrobali, zaraz ich oficerowii do porządku przyprowadzali, nas przepraszali, za szkodę, jeśli była, płacili.

Jeśli u nas armja się przyzwocie zachowywała, ina-

czej bywało po wsiach bliższej i dalszej okolicy. Mianowicie tratowanie pól, palenie płotów, drzwi, a nieraz dachów i ścian budynków, było powszechnem. To też usposobienie ludu wiejskiego względem armji, z neutralnego przemieniało się stopniowo na wrogie, z czem się jednak, oczywiście, chłopci starannie ukrywali. Potęgowała ten nastrój olbrzymia demoralizacja, jaką wojska ze sobą niosły. Żołnierz liczbą swą i siłą był panem wsi, i korzystał z tego tem łatwiej, że wszyscy niemal młodzi mężczyźni byli wzięci do szeregów. Oficerowie rzucali przytem pieniędzmi, dziesięcio i dwudziestopięciorubłówkami. Za demoralizacją szły choroby weneryczne i szerzyły się przerażająco wśród ludności.

Kilka tygodni stał u nas 40-ty transport, złożony z ukraińskich Małorusinów, czyli „Chachłów”, wynajętych z furmankami na czas wojny po 25 rb. miesięcznie, plus życie dla człowieka i pasza dla koni. Było furmanek parokonnych koło 250. Życie otrzymywali doskonałe, gotowali je sobie na podwórzu, w pysznych kuchniach polowych firmy Krzysztof Brun w Warszawie. Konie owsa i siana otrzymywały poddostatkiem. Te wozy średniowieczne, na drewnianych osiach, dziwaczne zaprzęgi, koniki krepie i kosmate, ludzie w karykaturalnych futrzanych czapkach, w dziurawych kozuchach i w łapciach na nogach, to wszystko robiło wrażenie obrazu Brandta. Nazywaliśmy ich obozem Bohdana Chmielnickiego. Obawialiśmy się, że nam będą szkody wyrządzali, lecz okazało się, że z nimi jest spokojniej, niż z żołnierzami, bo nie są tak pewni siebie, a za każde przewinienie oficer nakłada na nich kary pieniężna. Zresztą ludzie byli dobrzy. Biadali sobie, że się na początku wojny wynajęli po 25 rb. miesięcznie, a potem takie same transporty formowano po

60 rb., ostatnie zaś po 90 rb. miesięcznie. Ale związani byli umową do końca wojny. Dowodził tym transportem kapitan zapasowy Bar, urzędnik ziemski z zawodu, i on i jego trzech koledzy oficerowie bardzo poczciwi ludzie.

Oryginalne dawali Chachły widowisko, gdy polowali nocą na swe robactwo. Rozpalali ognisko, i w trzaskający mróz, rozebrawszy się na dworze do naga, nagrzewali i wytrząsali swą bieliznę. Podobno robactwo wystawione równocześnie na mróz i ogień, ginie radykalnie. Gdym ich zapytywał, czy kiedy zmieniają bieliznę, objaśniali, że niema w tem żadnego interesu, gdyby bowiem który włożył czystą koszulę, zaraz do niego zbiegać się będą wszy od innych, lepiej więc własne trzymać i od czasu do czasu ogniem tępić. — Sypiali oni po oborach i stajniach, starali się wciskać do mieszkań służby, ta jednak broniła się od tego energicznie.

Ponieważ chodziły uporczywe słuchy o wysiedleniu, w razie zbliżenia się Niemców, całej ludności męskiej, udałem się w marcu do powiatu. Naczelnik oświadczył mi, że istotnie w razie najścia nieprzyjaciela wszyscy mężczyźni od lat 18 do 45, 46, czy 47, dokładnie nie pamiętam, będą usunięci. Pytałem, czy przygotowuje się jakiś spis tych mężczyzn, boć w ostatniej chwili niepodobna byłoby stwierdzić wiek każdego. Odpowiedział, że nie ma żadnych rozporządzeń, a tylko zawiadomienie władzy wojskowej. W parę tygodni potem mówił mi, że granicę wieku rozszerzono od lat 18 do 50-ciu.

Od początku wojny, jak wspomniałem, latały nad nami aeroplany niemieckie, „europole”, jak je lud nazywał. Stelmach nasz Głazewski dowodził, iż ta nazwa pochodzi stąd, że latają nad Europą. Pod wiosnę zaczęły stale rzucać bomby na miasto, zwłaszcza na stację Ostrołękę,

odległą od Suska w prostej linii najwyżej o 2 wiorsty. W każdy dzień słoneczny zjawiały się o godz. 11-tej rano. Razu pewnego panna Piętkówna i córka moja powróciły ze stacji, z punktu opatrunkowego, o 10-tej i pół rano, a ja zaraz wsiałem do tejże bryczki, aby pojechać do gminy, do Rzekunia, odległego od stacji o pół wiorsty. Ledwo ujechałem pół drogi, ukazał się samolot, następnie drugi, trzeci, rozległ się szereg wybuchów i w pobliżu stacji ujrzałem wysokie słupy kurzu i dymu. Podjechałem jeszcze bliżej, a tu przed końmi, na kilkaset kroków, wznosi się czarny słup ziemi z dymem i rozlega się ogłuszający huk. Kazałem stanąć. Aeroplanów naliczyłem w tej chwili siedem. Wszystkie rzucały bomby, rachowałem je do 37, potem straciłem liczbę. Równocześnie okoliczne baterje rozwinęły na samoloty piekielny ogień. Wspaniały był widok tych eksplozji wśród huku. Nieraz po 3 i 4 bomby wybuchały równocześnie.

W pewnej chwili podjechał do mnie konno jakiś oficer i krzyknął po rosyjsku; „Co pan tu robi, niechże pan stąd ucieka!” Istotnie miejsce nie było bezpieczne, kazałem więc odjechać o jakie pół wiorsty. Wiele bomb padało blisko wagonów, nagromadzonych na stacji w dużej ilości, ale więcej jeszcze na pola i łąki okoliczne, w promieniu wiorstowym. Ciemne słupy wybuchów wznosiły się wyżej od najstarszych drzew, z każdego słupa ziemia zaraz opadała, a dym wisiał jakiś czas w powietrzu. Na łąkach strzelały w górę masy kęp zmarzniętej darniny.

Ze stacji i z poliskich wsi Rzekuń, Ławy, Kaczyny, wysypała się cała ludność i w szalonym popłochu uciekała na przelaj przez pola, bagna, jak tylko okiem sięgnąć

można było. W ciągu pięciu kwadransów padło podobno 112 bomb. Aeroplanów miało być 9.

Przed wieczorem pojechaliśmy z córką na stację, zobaczyć skutki bombardowania. Widzieliśmy po drodze dziury wyrwane w zmarzniętej ziemi, mniejwięcej na półtora łokcia głęboko, przy średnicy około 3 łokci. Widzieliśmy zabitych dwóch ludzi ze stojącego u nas transportu, jeden miał zdarte ubranie i połowę ciała, t. j. żebra, skórę z brzucha i ust, tak, że od brody do kolan przedstawiał jedną olbrzymią ranę, usłaną zczerniałymi wnętrznościami, drugi miał urwaną głowę. Dalej jechać nie mieliśmy ochoty. Ogółem było 40 osób dotkniętych, w tem 17 zabitych, przeważnie żołnierzy. Stacja kolejowa nie ucierpiała. Domy drewniane obok których padły bomby, były podziurawione na wylot odłamkami, lecz żaden się nie zawalił.

Do wszystkich aeroplanów strzelały rosyjskie baterje ze stacji i miasta, każdy samolot niezwłocznie otoczony był mnóstwem białych obłoczków od wybuchających szrapneli, lecz nie było wypadku, aby który został uszkodzony. Na naszych polach i dokoła domu codziennie padały puste, wystrzelone szrapnele. Waga takiej „szklanki” żelaznej dochodzi do 9 funtów. Kilka dziur zrobiły one w naszych dachach. Przywykliśmy tak do nich z czasem, że nikt sobie z nich nie robił. Nieraz jeszcze na jesieni, siedząc na werandzie przed domem, słyszeliśmy po otaczających dom drzewach szelest ołowianych kulek wystrzelonych ze szrapneli. Na polu ludzie nie przerywali roboty; jeśli spostrzegli, że szrapnel upadł blisko, szli tylko obejrzeć miejsce i spróbować rurę wyjąć z ziemi, poczem wracali do pracy. Na roli „szklanki” wbijały się tak głęboko, że bardzo trudno je było dostać, na twardej

drodze zwykle tył szrapnela sterczał z ziemi. Płaciłem zrazu za nie po 20 kop. następnie po 10, po 5, i zebrałem dużą kolekcję.

W niedzielę palmową zjechała do nas znowu część korpusu kaukazkiego, mianowicie oddział sanitarny, złożony z lekarzy, ludzi wykształconych. Jeden był między nimi nie doktor, pułkownik głuchy, jak pień. Najstarszy z lekarzy miał w Tyflisie wielki zakład ginekologiczny, podobno urządzonego z europejskim komfortem. Dbali wielce o jedzenie, projektowali sobie święcone, debatowali nad różnemi ciastami i wędlinami. Mieli ze sobą kilkanaście „burdiuków”, są to skóry baranie, niewyprawione, odwrócone wełną do środka i nalane winem kaukazkiem. Przed odwróceniem skóry smaruje się wełnę smołą. Szyja i nogi są związane, a po nalaniu winem sterczą sztywno; w jednej nodze jest osadzony drewniany kran. Chciałem kupić taki pusty „burdiuk” jako „curiosum”, lecz za nie mi go sprzedać nie chcieli. Przypuszczałem, że wino, trzymane w baraniej skórze z wełną wysmarowaną smołą, musi mieć smak nieciekawy, tymczasem przekonałem się, iż smakuje tak, jak z butelki. Oczywiście była to w naszym pojęciu lura, którą się jednak Kaukazczycy zachwycali i zapijali.

Podczas ich pobytu w Susku ukazał się aeroplan nad naszym domem, poczem skierował się ku stacji, a gdy zaczęto go ostrzeliwać, skreślił, zniżając się, na południo-wschód, ku wsi Nowy-Susk, gdzie go powitał ogień karabinowy. Zawrócił wtedy wprost na Susk-Stary, na nasz dom, coraz bliżej ziemi, coraz większy, aż przed samym ogrodem znów skreślił i usiadł na polu za spichrzem.

Lotnicy niemieccy, zabijający od tyłu tygodni spo-

kojnych ludzi, kobiety i dzieci, prawdziwą nas nienawiścią przejęli. Widząc jednego nareszcie straconego, nie posiadałem się z radości, i począłem pędzić ku niemu z takim zapalem, iż, pomimo stałego i bolesnego artrytyzmu, nie szukając w pośpiechu bramy, przelazłem jak wiewiórka przez parkan ogrodu. Ujrawszy żołnierzy również biegnących, zawołałem: „Nie zbliżajcie się, oni mają zapewne karabin maszynowy i powystrzelają nas. Palcie do nich!” Stanęli i dali salwę, ale jeden z dwóch lotników zaczął machać białą chustką, więc spuścili karabiny i zbliżali się zwartą kupą, jeszcze nie dowierzając. Lotnik wtedy podbiegł ku nim szybko i ujrzałem, jak ich bił po twarzach, krzycząc w pasji: „Cztoż wy, sukiny syny, nie znajecie ruskawo oficera?” Wyrwał jednemu karabin i jeszcze kolbą uderzał po nich na prawo i lewo. Był to aeroplan i lotnicy rosyjscy! N. b. usłyszałem, jak podczas tej ekzekucji jeden z żołnierzy się tłumaczył: „pamieszczyk wieleł nam strelat’.”

Nadbiegł głuchy pułkownik i doktorzy, zaczęli kręcić głowami i wyrażać przypuszczenie, że to Niemcy przebrani w mundury rosyjskie, tembardziej, że odmówili pokazania swoich legitymacji. Chciał pułkownik starszego lotnika aresztować, lecz ten cofnął się szybko, oparł lewą rękę o aparat, w prawej podniósł brauning i rzekł: „Nie wolno mi maszyny mojej opuścić, kto mnie ruszy, palę mu w łeb! Mojego towarzysza możecie, jeśli chcecie, aresztować!”

Zastanowiło to „dictum” Kaukazczyków, zostawili lotników pod wartą, a do Ostrołęki wyprawili galopem żołnierza do sztabu.

Tymczasem z całej okolicy, ze stacji, ze wsi oddalonych o kilka wiorst, biegły pędem tłumy żołnierzy, włoś-

cian, kobiet, dzieci; tak pilno im było, iż nie szukali dróg, a pędzili przez pola, rozdeptując zieleniące się już oziminy. Od stacji do Suska prowadzi droga sucha, z niewielkimi załamkami, mimo to cała ciżba waliła przez pola, głębokie rowy, bagniste pastwisko. Jedna z sióstr miłośrdzia ze stacji tak się w bagno zagalopowała, iż nie mogła z niego wybrnąć, i zdaleka widzieliśmy jej rozpaczliwe wysiłki, znaczone konwulsyjnymi ruchami białego zawoju jej głowy.

Nie upłynęło pół godziny, a na polu naszym zebrało się kilka tysięcy ludzi. Wszyscy odchodzili rozczerzowani, dowiadując się, że to nie aeroplan niemiecki. Pole na szczęście nie było obsiane, a zorane pod owies.

Przyjechał oficer z Ostrołęki, rozmówił się z lotnikami, postawiono straż przy samolocie i wszyscy przyszli do kwatery oficerskiej w naszym domu na herbatę. Nazajutrz rano przyjechali ze Śniadowa samochodem monterzy, maszynę strzałami uszkodzoną naprawili i lotnicy odlecieli.

W wielki czwartek, gdy świąteczne kaukazkie kołaczki już miały iść do pieca, otrzymali nasi goście rozkaz wyjazdu. Bardzo byli zmartwieni. Na pożegnanie poczęstowali mnie winem z „burdiuka”, i przy rozmowie zapytali, czego się naród polski spodziewa po tej wojnie. Odpowiedziałem ostrożnie, że mamy nadzieję, iż słowa odezwy W. Księcia nie będą czczą obietnicą, a na to jeden z doktorów: „Nie róbcie sobie złudzeń! Pamięta pan obietnice uczynione w 1905 r.? A wtedy było dane słowo cesarskie, nie W. Księcia, i chodziło o Rosję, nie o Polskę!”

Święta Wielkiejnocy nowego i starego stylu przypadały w 1915 r. równocześnie. Przykazane było rosyjs-

kim wojskom w pierwszy dzień Wielkiejnocy nie strzelać, jeśli Niemcy nie zaczną, oczekiwaliśmy więc z ciekawością, co będzie. Na wschodzie i północo-wschodzie, pod Łomżą i Nowogrodem, cicho było przez cały dzień, natomiast na zachodzie, w stronie Przasnysza, koło południa zaczęła się silna kanonada i trwała do wieczora. Opowiadano nam, iż między Nowogrodem, a Łomżą żołnierze obu armji przechodzili nawzajem do swych okopów, Niemcy przynosili wódkę, kielbasę, Rosjanie papierosy, chleb. Za Nowogrodem przyszło do okopu rosyjskiego zgórą 100 Niemców z bronią, tak że Rosjanie zlekli się zasadzki, zaczęli chwytąć za karabiny i formować się, ale Niemcy roześmieli się, rzucili broń i oświadczyli, że przyszli nie tylko się zabawić, ale oddać się w niewolę.

Wkrótce po Wielkiejnocy zajął u nas kwaterę dowódca 3-go obozowego bataljonu, kapitan Witold Śliwiński, Polak. Odrazu zjednał nas swoją uprzejmością i delikatnością. W obozie jego byli oficerowie, a również i żołnierze, przeważnie Polacy. Oficerowie mieszkali we wsiach okolicznych. Pomiedzy nimi bliższe stosunki zawiązaliśmy z p. p. Owidzkim, aż do wojny wicedyrektorem cukrowni Ostrowy, i Augsbachem, właścicielem fabryki sukna w Tomaszowie Rawskim. Często odwiedzali nas ci panowie, grywali w tennisa z dziećmi moimi, lub spędzali czas na miłej rozmowie. Pan Augsbach, wielce muzykalny, grywał nieraz wieczorami na pianinie. Nader sympatyczne wspomnienie zostawiła nam też pani Owidzka, która przez kilkanaście dni bawiła przy mężu. Trzeci bataljon obozowy stał u nas przez okragłe trzy miesiące.

Powoli dom nasz stał się ośrodkiem, który stale odwiedzali młodzi oficerowie Polacy, z dalszej często okolicy. Na wiosnę 1915 r. wojska rosyjskie, przy cofaniu

się, zaczęły siłą ludność wyganiać z wiosek. Zrazu usuwano ludność ze wsi bezpośrednio zagrożonych ogniem bitew, następie wojska, jakby zasmakowawszy w tej operacji, zaczęły wysiedlać wszystkie wsie przy cofaniu się. Na pleć i wiek ludzi nie zwracano przy tem uwagi.

Na lewą stronę Narwi jednak bardzo niewiele Kurpi przechodziło. Komitet Obywatelski w miarę możności zakładał herbaciarnie, rozdawał mąkę, kaszę, i t. d., lecz zanarwiańskie Komitety Gminne nam komunikowały, iż większość bezdomnych żywiła się kosztem armji. Tu zaznaczał się charakter żołnierza rosyjskiego, który nielitościwie krzywdzi, grabi, gwałci, wygania, a z ofiarą swoją własnym chlebem i zupą się dzieli. Żyły więc przy wojstkach, ich dobroczynnością, przez kilka tygodni, tysiące rodzin przez też armję nahajkami z chat własnych wygnanych i do nędzy doprowadzonych. To samo mówili nam jeńcy niemieccy, nawet o Kozakach, że biją, rąbiają, kołają człowieka już powalonego, bezbronnego, ale jeśli wyjdzie żyw, podnoszą go i opatrują, częstują papierosem i chlebem.

Opowiadali nam oficerowie, jak Niemcy byli zawsze poinformowani o wszystkim, co się działo po rosyjskiej stronie. Gdy gwardja otrzymała rozkaz przejścia z pod Łomży w okolice Białegostoku, a żołnierze nawet jeszcze o tem nie wiedzieli, tego samego wieczoru ukazał się nad okopami niemieckimi transparent z napisem: „Proszczajcie w Białostok” (szczęśliwej drogi do Białegostoku). Gdy w innem miejscu, w wielkiej tajemnicy, przyszedł pułk Libawski, zaraz Niemcy przywitali go transparentem: „Zdrowstwujić Libawcy”! We trzy miesiące później, w Susku, jeździł pewnego dnia oficer po polach i zatrzymał się dłużej w 15-to morgowym, ręką sadzonym zagaj-

niku, położonym daleko od lasu. Na zapytanie ludzi, sprzątających żyto, odpowiedział, że szuka miejsca dla baterji, i że tu będzie postawiona. Nazajutrz na zagajnik i dokoła padło kilkanaście pocisków niemieckich, a przedtem, ani przez pewien czas potem, nie padł u nas żaden. N. b. baterji w zagajniku nie było jeszcze.

Niezupełnie słusznym zdaje mi się zarzut, stale czyniony armji rosyjskiej, co do jej złej organizacji. Wspominałem już o położeniu Suska między dwiema szosami, przy samej niemal stacji węzłowej Ostrołęka, byliśmy więc w wyjątkowem położeniu, aby widzieć wszystkie ruchy wojsk. Na początku wojny przez kilka miesięcy, szczególnie w okresie po rozgromieniu jen. Samsonowa, panował istotnie zamęt. Intendentura, jak mówiłem, działała nader niedołąźnie, oddziały wojska, czy to kierując się ku stacji kolei, czy to z niej rozchodzące się w różne strony, spotykały się, błędziły, zapychały stację i drogi. Lecz po nowym roku 1915 już i intendentura funkcjonowała prawidłowo, i, wzięwszy pod uwagę te ogromne ilości wojska, które do nas przychodziły koleją, końmi i pieszo, byłem zbudowany porządkiem, jaki ciągle panował. Miałem nieraz wrażenie niezdecydowania w dowództwie, w przesuwaniu wojsk, gdy niektóre oddziały 2 lub 3 razy w ciągu doby ładowały się na pociągi i wyładowywały, szły po okropnem błocie na pół drogi do Łomży i wracały. Lecz to jest sprawa strategji, a materalne wykonanie rozkazów i ruchów odbywało się sprawnie i szybko. Nie widziałem organizacji armji niemieckiej, zapewne jest ona doskonalsza, lecz o ile, jako profan, sądzić mogę, i rosyjska daleką jest, a przynajmniej była wtedy od chaosu.

Otrzymałszy od kilku Gminnych Komitetów Oby-

wate'skich zażalenia na komendantów etapów, wprost rabujących krowy zbiegów z za Narwi, wysłałem do gubernatora, jako prezesa Gubernialnego Komitetu Obywatelskiego, obszerną skargę.

Był to ostatni mój akt jako prezesa Powiatowego Komitetu Obywatelskiego. Coraz gorszy stan zdrowia mojego zniewolił mnie zrezygnować z tych obowiązków na rzecz wiceprezesa, p. Stanisława Budnego. Przytem pragnąłem zająć się pobudzeniem do życia, uśpionego od początku wojny naszego Okręgowego Towarzystwa Rolniczego, szczególnie Kółek wiejskich. Sekretarzem K. O. pozostała moja córka.

Z postępowania ostrołęckiego komendanta etapu i z wielu wypadków, które sam miałem, lub o których mi opowiadali znajomi, widać, jak nadzwyczajną rolę grało, jeśli kto mógł we właściwym momencie postawić butelkę dobrego napitku. Nie można nawet powiedzieć, aby chodziło o ilość trunku i o pijaństwo. Czego żadnemi protekcjami, ani łapówką najgrubszą, za którą 100 butelek możnaby kupić, nie dało się zrobić, to się załatwiała dostarczeniem w odpowiedniej chwili paru flaszek czegoś prawdziwie smacznego. Wydaje się, jakby taki argument, poza wrażeniem bezpośrednim na podniebienie i żołądek, trafiał w głębi duszy rosyjskiej do jakichś strun tajemniczych i wywoływał w niej dźwięki serdeczne i szlachetne. Tak samo przed wojną każdy z nas się nieraz przekonał, iż zaproszeniem naprzykład na polowanie można od rosyjskiego czynownika otrzymać to, czego by nawet za tysiące rubli nie zrobił. Podczas wojny, po zamknięciu monopolu spirytusowego, butelka starki lub likieru nabyła tego czarodziejskiego uroku i wpływu.

W maju położenie u nas było, chwilowo przynaj-

mniej, o tyle bezpieczne, iż mogłem odbyć 2 tygodnie kadencji w Komitecie T. K. Z., pierwsze od początku wojny. Wstąpił do Suska po mnie Janek wracając samochodem z Łomży, dokąd jeździł z Warszawy z p. Ładą, z Makowskiego, w interesie C. K. Obywatelskiego. Wszędzie przecinały szosę linje obronne, okopy i zagrody z drutu.

Jakkolwiek o możliwości wzięcia przez Niemców Warszawy dużo mówiono, a utrata przez Rosjan Przemyśla wyraźnie zapowiadała zwrot w sytuacji wojennej, jednak o tem, żeby część Królestwa położona na Wschód od Wisły i na południe od Narwi i Biebrzy, była zagrożoną, nikt nie myślał. Gdy w Komitecie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego radca Eustachy Dobiecki wniósł, aby w okręgu lubelskim, w siedleckim i w południowej części łomżyńskiego wznowiono zapisywanie ostrzeżeń za zaległe raty, i wogóle kroki egzekucyjne względem dóbr, przez wojnę niezniszczonych, nikt przeciw temu nie protestował, zdawało się bowiem, iż te części kraju są ostatecznie poza terenem działań wojennych. Uważaliśmy, iż wznowienie rygorów tem jest pilniejsze i słuszniejsze, że niezajęta przez Niemców część Królestwa robiła dobre interesy na wysokich cenach zboża i innych produktów. Co do majątków, które w okręgu lubelskim ucierpiały w 1914 r., wstrzymaliśmy się ze ścisłym określeniem ulg, jakie otrzymają, nie ze względu na przyszłe działania wojenne, a na niewiadomość o rozmiarach szkód wyrządzonych w innych okręgach, zajętych wówczas przez Niemców po lewej stronie Wisły i na północ od Narwi. Mielśmy nadzieję, że dziesięciomiljonowa pożyczka, przyznana Towarzystwu przez Radę Ministrów, wystarczy mu dla przetrwania ciężkiego okresu wojny! Na wiosnę 1915 r. byłem trzy razy w Warszawie. Podczas tych pobytów odniosłem

wrażenie, że niezawodnym barometrem istotnego położenia wojennego była ilość gości Rosjan w Klubie Myśliwskim. Skoro tylko szło im lepiej, tłoczyły się chmary wojskowych, członkowie nie mogli się opędzić ich przymawianiom się o wprowadzenie do Klubu; jeśli wieści były mniej pomyślne, jakby ich kto wymiół, nie tylko wojskowego, ale cywilnego nie było ani na lekarstwo. Ciekawym, czy powodował nimi wstyd, czy też obawa usłyszenia mimochodem jakichś nie miłych refleksji, wogóle bowiem w Klubie panowała szczerłość, i każdy z nas mówił to, co myślał, krępując się oczywiście przy Rosjanach w pewnej mierze, ale względami towarzyskimi, nie politycznymi. Szczególnie otwarcie mówił zawsze ks. Zdzisław Lubomirski w oczy Rosjanom, lecz z odcieniem tak dobrodusznym, że choć czuli ironję, gniewać się nie mogli.

Pamiętam oburzenie konsula belgijskiego, p. Bure, w dniu imienin króla Alberta. Został w domu, oczekując tłumy oficjalnych wizyt z życzeniami: zjawilo się istotnie dużo osób, lecz jedynie z polskiego towarzystwa, Rosjanin zaś, wojskowy ani cywilny, ani jeden.

Za drugim moim pobytem w Warszawie, w kwietniu, poznałem brata króla Piotra Serbskiego, ks. Arsena Karageorgjewicza, generała dywizji w służbie rosyjskiej. Ma on oddawna opinię bardzo nieciekawą, jako człowiek, lecz na polu bitwy jest podobno odważny, jak lew. Przyjechał z naszego ostrołęckiego frontu, pamiętał zadziwiająco nazwy i położenie mnóstwa wiosek kurpiowskich. Mówił mi, że jest to siódma wojna, w której bierze udział, i wyliczył je: był w Transwaalu, Chinach, Madagaskarze, Japonji, na Bałkanach i t. d. W Klubie przy kieliszku proponował wszystkim „bruderszaft“, do tego stopnia, że nikt nie chciał przy nim kilka razy z rzędu siedzieć.

Pytałem go się, jak długo zabawi w Warszawie, odpowiedział, że był dotąd 10 razy w Nowościach na „Florabelli“ z Messalówną, a musi być przynajmniej 12 razy, poczem dopiero wyjedzie. W Ostrołęckiem słyszałem pochwały o jego ludzkości, tylko księża narzekali, że butelki w żadnej plebanji nie zostawił nigdzie ani jednej. Zresztą nie miałem szczęścia do przyjezdnych francuskich i angielskich znakomitości, które podejmowano w Klubie. Nigdy się żadna nie zjawiała, gdy byłem w Warszawie.

Syn mój Jan, miłośnik starożytności, od jesieni 1914 r. student Wyższych Kursów Rolniczych w Warszawie, wolne chwile poświęcał szperaniu po antykwarniach. U Żydów na ulicach Bagno, Ś-tokrzyskiej i t. d. jest mnóstwo starych obrazów, a szczególnie sztychów, których wartości oni sami zwykle nie znają. Kilkadziesiąt rzeczy nabył Janek za becen.

Odnajmował on na Włodzimierskiej pokój umeblowany od antykwariusza. Pociągało go głównie to, iż meble wszystkie były antykami, a ściany zawieszone były starymi obrazami i sztychami. Spał na ślicznem łóżku francuskim „Louis XV“, niestety, właśnie podczas mojego pobytu, łóżko to zostało sprzedane: kupił je wzbogacony na wojnie fabrykant drutu kołczastego, pan W., za 1.700 rb., i ofiarował damie swego serca i swojej kieszeni.

Okaże się po wojnie, jakie majątki niektórzy uzbierali. Olbrzymi interes zrobiła na dostawie kuchen polowych firma B. w Warszawie. Opowiadano mi jako fakt autentyczny, że gdy p. B. starał się o tę dostawę, generał prezydujący komisji oświadczył mu, że jakkolwiek rad byłby mu tę antreprzyzę oddać, nie może tego uczynić z powodu niemieckiego jego nazwiska, wywołałoby to bowiem protesty.

— Panie jenerale, miał zawołać p. B., najlepszym dowodem, iż jestem Polakiem, jest to, iż po 1864 roku mój ojciec był zesłany na Sybir za czynny udział w powstaniu!“

— Tak, odparł jenerał. A to zupełnie zmienia postać rzeczy! Oddaję panu dostawę.

Nie spodziewał się powstaniec 1863 roku, że pracuje na miliony dla swego syna!

W Susku jeszcze w maju oficerowie wciąż nas upewniali, iż Niemcy bezwzględnie do Narwi nie będą dopuszczeni. Naraz przyszedł rozkaz zwinięcia i wywiezienia całej kolejki konnej. Niebezpieczeństwo się zbliżało. Dn. 6 lipca wszystkie władze administracyjne opuściły Ostrołękę.

Szczerze żał nam było rozstać się z kapitanem Śliwińskim i podwładnymi mu oficerami, z którymi przez trzy miesiące zżyliśmy się. Przytem wyjazd ich zapowiadał nam nowe, zapewne groźne zdarzenia. Namówiliśmy sąsiadkę naszą, panią Romanową Grochowską z Przytuł, aby, korzystając z uprzejmości kapitana Śliwińskiego, który jej w swoim pociągu ofiarował cały wagon 2-giej klasy, odjechała z trojgiem drobnych dzieci swoich na Litwę, do rodziny. Pociąg, którym odjechała, był ostatnim z Ostrołęki; w godzinę potem tor został przy stacji zniszczony przez niemiecką artylerję!

Dotąd nie wywoziliśmy z domu, ani nie pakowaliśmy. Pragnęliśmy możliwie uchronić od zagłady bibliotekę, zawierającą z górą osiem tysięcy tomów, przeważnie francuskich, angielskich i niemieckich. Wywieźć ją teraz było trudno, postanowiliśmy przynajmniej część schować do piwnic i może tym sposobem ocalić od pożaru.

Zebraliśmy wszystkie paki drewniane, jakie można było znaleźć w Susku, w Ostrołęce udało mi się też kupić 9 czy 10 niewielkich, ustawiono je w piwnicach i znieziono wszystkie książki francuskie. Innych nie schowaliśmy, bo i pak, i miejsca nie było, a zresztą dłuższy pobyt w wilgotnej piwnicy też dla książek dobrym nie jest. Od początku wojny składałem wszystkie numery „Kurjera Warszawskiego“, „Gazety Warszawsk.“ i „Kraju“, oraz ile tylko mogliśmy zdobyć t. zw. pism „niepodległościowych“, niecenzuralnych. To wszystko poszło również do piwnicy, między książki.

Po wyjeździe trzeciego bataljonu obozowego, zajął natychmiast u nas kwaterę sztab artyleryjskiej brygady Syberyjskiej, z generałem Muschelowem na czele, wysokim, przystojnym, sympatycznym starcem. Jednak bawił tylko dobę, wyrugował go bowiem do sąsiedniej wsi generał Regulski, dowódca 9-ej Syberyjskiej Dywizji Strzelców, ze swoim sztabem. Zajęli ci panowie cały dom, oprócz pokoiów sypialnych panny Piętkówny i moich dzieci, oraz mojej kancelarji. Ja nawet swój pokój sypialny pierwszy raz oddać musiałem i przenieść się do małego buduaru przy pokoju jadalnym. Co do tego ostatniego urządziliśmy się tak, że sztab jadał zawsze zaraz po nas obiady i kolacje.

Dziwili się nasi nowi goście, że na Susku nie znać zupełnie wojny. Rzeczywiście parkany i płoty wszystkie kazałem w maju odrestaurować starannie; w polu, gdzie było miejsce wydeptane lub zjeżdżone, zostało poderane lub zgryfowane, i obsiane.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, iż owe niby nieprzystępne trzy linje okopów i zagród drucianych za Narwią, zostały prawie bez boju opuszczone i Niemcom oddane. Mieliliśmy

dokoła siebie najdzielniejsze wojska, bo 4-ty korpus syberyjski, ale cóż one poradzić mogły, gdy ładunków do armat nie było! Coraz częściej na miasto i na stację padać zaczęły szrapnele niemieckie. Jednak naprzeciwko Ostrołęki kanonada była względnie najslabsza. Najgorętszą walkę słyhać i widać było na zachodzie, w kierunku Różana, i na wschodzie, w kierunku Łomży. Dawniej grzmot dział przycichał zwykle w nocy, obecnie rzadko kiedy zalegała nocna cisza, a łuny coraz bliższe nieustannie rozświecały horyzont.

Jenerał Regulski wydał nam się w pierwszych dniach grzecznym staruszkim, po polsku mówił, lecz jakiego był wyznania i jakiej chciał być narodowości, nie dowiedzieliśmy się. Ze sztabem jego, złożonym z samych młodych ludzi, sympatyzowaliśmy odrazu. Szefem sztabu był sztabs-kapitan Terwand, zawsze wesoły i dowcipkujący, adjutantem porucznik von Emden, naczelnikiem wywiadowców porucznik Schorr, gospodarzem sztabu porucznik Pawczyński; oprócz tego byli porucznicy: kniaź Mikołaj i Pietruszkow. Wszyscy byli bardzo dobrze wychowani; mówili, jak i jenerał zresztą, iż od początku wojny nie zaznali jeszcze takiego komfortu i wygody, jak u nas. Tennis czynny był codziennie, a wieczorami na werandzie szachy i warcaby.

Do sztabu przyjeżdżali codziennie oficerowie z okolicy, rozkoszowali się ogrodem, cieniem drzew, kwiatami. Jenerał Muschelow okazywał szczególną miłość dla róż, co zdawało nam się świadczyć pochlebnie o jego charakterze.

Napływały wówczas z za Narwi tysiące wygnańców. Niektórzy, z nad samej granicy oraz z Przasnyskiego, byli na tułaczce już od roku. Rozlokowali się z wozami,

krowami, świńmi, owcami, gęsiami i kurami, po lasach i krzakach okolicznych. Z początku nocowali na wozach, okrytych płótnem, wkrótce zaczęli ciąć drzewa i budować sobie szałas, okryte gałęziami. Gdzie tylko był gaj taki, powstawały takie obozy, jakby wioski, wśród których dymiły dzień i noc ogniska. Czynili ci nieszczęśliwi dużą szkodę w lasach, a szczególnie w zagajnikach. Każdy miał na swoim wozie jakiś taki zapas żywności, lecz ta się wkrótce wyczerpała, wówczas wzięli się do kopania kartofli włościańskich i dworskich, a ponieważ były jeszcze bardzo młode i małe, niszczyli duże przestrzenie. Inwentarz żywy paśli po łąkach, a gdy pastwiska brakowało, kosili lub rwali zielony owies, groch, koniecinę. Miejscowi chłopcy i szlachta bronili się i opędzali jak mogli, ale każdy rozumiał, że może niedaleko jest chwila, gdy i jemu wypadnie żyć tak, jak tym bezdomnym.

Kurpie od roku mieli styczność z bojami, wiele wsi bywało „pod Niemcem” po kilka razy od początku wojny, i byliby siedzib swoich, nawet spalonych, nie opuszczali, lecz rosyjskie wojska wypędzały ich, Kozacy bili nielitościwie nahajkami, tak że bardzo mało komu udało się na ziemi swej pozostać. Od setek ludzi słyszałem te same, szczegółowe opowiadania.

Naprzeciwno Suska stojąca nad Narwią dywizja 9-ta trzymała się dobrze, lecz sąsiadujące z nią na prawo i na lewo pozwoliły Niemcom nie tylko dojść do samej rzeki, ale się przez nią przeprowadzić i umocować się. W Przytułach, o 5 wiorst w prostej linii od nas ku północo-wschodowi, mieszkał sztab 38-go pułku, stojącego na pozycjach; pociski niemieckie padały tam coraz gęściej na polach, żniwo rozpoczęte stanęło, część służby uciekła

z Przytuł do dalszych wsi. Wygnańcy z za Narwi, otrzaskani ze strzelaniną, rozgospodarowali się jak u siebie, żołnierze zaczęli na szeroką skalę kraść koni-
czyne i owies. Właściciel, p. Roman Grochowski, przyje-
chał na skargę do jenerała Regulskiego, ten jednak przy-
jął go z oburzeniem: „Jak pan śmie, wołał, narzekać na
jakieś tam szkody! To pan chce wojnę całą przebyć bez
ofiar? My oddajemy krew i życie, a pan dla Ojczyzny
nie może stracić rubla? Tutejsi obywatele ziemscy od
roku brali za wszystko ceny podwójne, mają pieniądze
w bankach, teraz na nich przyszła kolej poznać wojnę!”

W naszej wsi parafjalnej, Rzekuniu, kilka domów
blisko kościoła było rozbitych pociskami, ludność ze wsi
się wyniosła, a chaty przeważnie zajęli Kurpie
wygnańcy. Oba kościoły, stary i nowy, stały wciąż całe,
proboszcz, ksiądz Żebrowski, starzec blisko 70 letni, sie-
dział samotny w plebanji, stojącej przy samym nowym
kościółku. Udało mi się przekonać go, żeby, jeśli pociski
będą jeszcze gęściej padały, przyjechał do nas, gdzie
będzie od kościoła o 3 wiorsty, a nie narazi się na śmierć
niechybną, jakaby go tam czekała. Tegoż wieczoru or-
ganista przywiózł do Suska monstrancje i kielichy, które
zakopaliśmy w piwnicy. Nazajutrz strzelanina się wzmo-
gła, szrapnel wybił otwór w dachu kościoła, przed wie-
czorem więc ks. Żebrowski przyjechał do nas.

Staruszek, dzięki kilkonastoletnim wysiłkom którego
parafja nasza zdobyła się na nowy, piękny kościół gotycki,
codziennie spędzał godziny, stojąc na trakcie pod figurą
Matki Boskiej, wdychając co chwila boleśnie, zapatrzonej
w ukochany kościół, śledząc z napięciem wzruszeniem,
czy nie ujrzy go rozpadającym się w gruzy. Pociski
jednak padały dokoła, ryły głębokie doły, rozwalaly cha-

łupy, a kościół stał, z jednym wciąż tylko uszkodzeniem w dachu. Stary kościółek drewniany, w którym do ostatniej chwili odbywały się nabożeństwa, też trwał nie-naruszony.

Przechodząc jednego poranku koło mieszkań służby, ujrzałem Kozaka pijącego mleko podane mu przez kobietę. Zapytałem go, czy Niemcy przyjdą do nas. Wpadł w pasję i jął na całe gardło przeklinać; „Czy przyjdą Niemcy? Już są u nas generałami, pułkownikami! To nasze nieszczęście, że cała nasza komenda, to sami Niemcy, a nas Ruskich umyślnie na rzeź posyłają! Wielki Książę ich tępi, dużo ich przepędził, ale jeszcze ich pełno, zdrajców!“ Rozwodził się tak, długo i głośno, nie zważając na przechodzący inny oddział z oficerami.

Kilkuset Kurpi ulokowało się u nas w podwórzcu. Zapełnili stodoły, wypróżnione obory, a i w innych budynkach, gdzie tylko było jakie miejsce niezajęte przez wojsko, zapychali je wygnańcy. Ci, u nas zamieszkali, nam szkód nie czynili; zboże kupowali, inwentarz paśli na miejscu mojego, młodzi chodzili do żniwa. Byli między nimi dobrzy, dawni znajomi, towarzysze pracy w kółkach rolniczych. Wspomnę tu przede wszystkim wielkiej prawości i kraj miłujące dwie rodziny kurpiowskie, Mateusza Sobiecha z Kadzidla i Tomasza Dawida z Czarnotrzewia. Młody Józef Sobiech*), wychowaniec szkoły rolniczej w Pszczelinie, oraz młody Dawid ofiarowali mi się, przed rekwizycją, odprowadzić bydło moje do Wojciech, na co się wielce rad zgodziłem.

Susk czynił wówczas wrażenie oazy wśród pustyni. Jedynie u nas w całej okolicy żniwo szło dalej całą

*) Obecnie poseł na Sejm.

możliwą siłą, i to może dotąd powstrzymywało, tak wygnańców, jak żołnierzy, od robienia nam szkód takich, jak gdzieindziej. Dzień w dzień pracowały trzy żniwiarki i 20 do 30 kośników, przeważnie werbowanych z pośród wygnańców. Hałas strzałów, nawet pociski, mało już robotników wzruszały. Pewnego dnia w środek łąnu żyta, który wokoło cięły żniwiarki, o pareset kroków od ludzi, padło i rozerwało się kilka granatów niemieckich. Robotnicy oddalili się, poczekali, a gdy więcej pocisków nie było widać, po niecałej godzinie powrócili do pracy na to samo miejsce.

Wobec sztabu u nas stojącego ukrywaliśmy się z tem, że pragniemy pozostać na miejscu w razie najścia Niemców, cała armja bowiem uważała to jako istną zdradę. Raz miałem na ten temat obszerną dysputę z generałem Muschelowem i innymi oficerami: żaden nie pojmował, iż za największe nieszczęście uważamy porzucenie domu i ziemi swej. Generał Regulski coraz więcej nalegał, abyśmy wyjechali. Co rano przywitaniem jego było: „Wy jeszcze zdieś?” Oficerowie, śmiejąc się, radzili nam, abyśmy uprzedzali to pytanie i pierwsi go rano zapytywali: „Kakże, wy jeszcze zdieś!” Dywizja 9-ta wciąż się na Narwi trzymała, inne też więcej nie ustępowały, mieliśmy więc nadzieję, iż Niemcy dalej nie pójdą, a jeżeli pójdą, to nas z dwóch stron obejdą, tak że 9-ta dywizja albo się dostanie do niewoli, albo też bez boju szybko się wycofa, nie mając czasu nas spalić i zniszczyć.

Właścicielka Czarnowca, p. Iżycka, i syn jej zmuszeni byli z majątku wyjechać. Szrapnele zaczęły coraz częściej padać koło samego domu, niebezpieczeństwo śmierci było więc ciągle, oficerowie codziennie ich do opuszczenia majątku naglili, a gdy państwo I. mimo to

z wyjazdem się ociągali, oznajmiono pani Iżyckiej, iż będzie w domu zrobiona rewizja. Było w Czarnowcu, zarówno jak u nas, sporo pism i książek nielegalnych, których znalezienie miałoby najgorsze skutki. Niszczyć ich już nie było możności, zdecydowała się więc bardzo słusznie pani I. wyjechać, co oficerowie skwapliwie zaaprobowali, zrzekając się rewizji. Zdaje się, że im o to właśnie chodziło, aby pozbyć się jej i jej syna. Przyjechali państwo I. do Suska, a po trzech dniach odjechali końmi do Małkini, stamtąd zaś koleją na Podole, do swej rodziny. Miała pani Iżycka wielce smutne wiadomości o szwagrze swoim, p. Adamie Łuniewskim z Wieniawy w Radomskiem: chodziły słuchy, iż został przez Niemców zamordowany.

Podczas pobytu w Susku p. p. Iżyckich, spłonęła Ostrołęka, podobno zapalona pociskami niemieckimi. Wiatru prawie nie było, ogromna chmura czarnego dymu zawisła w powietrzu i przez cały dzień zasłaniała pół nieba; czuć było o sześć wiorst woń spalenizny. Z nastaniem zmroku zajaśniała olbrzymia luna. Po kolacji generał Regulski zaproponował p. Stawiarskiej, mojej córce i Stefkowi pojechać z nim samochodem, zobaczyć pożar zbliiska; młody Iżycki pojechał konno z oficerami. Samochód wrócił wkrótce, albowiem z powodu pocisków niemieckich dojechać do miasta nie dało się, Iżycki dostał się jednak z oficerami prawie do samego rynku: wśród ognia przesuwali się gdzieniegdzie ludzkie postacie, ale co uderzało w oczy, to mnogość kotów, biegających pomiędzy płonącymi budynkami; psy wywędrowały były za ludźmi, koty pozostały.

Zamknięcie sądów wkrótce po wybuchu wojny pozwoli zdemoralizowało ludność: zobowiązań pieniężnych

mało kto dotrzymywał, kradzieże i wszelkie nadużycia bezkarnie się rozwielały. Nadaremnie nasz Komitet Obywatelski jeszcze na jesieni 1914 r. kołatał o pozwolenie na otwarcie przynajmniej sądów, gminnego i pokoju. Obecnie, po wyjeździe również policji, w atmosferze bezprawii popełnianych przez armję i szkód wyrządzanych przez tłumy wygnańców, zapanowały stosunki iście barbarzyńskie. Przyszła z płaczem do mnie zamożna szlachcianka, wdowa, ze wsi Kaczyny-Tobolice, przy samej stacji, Załęska, i opowiedziała, że gdy z jej wsi, gdzie jak grad padały niemieckie szrapnele, kazano ludności się wynieść, zabrała na parokonny wóz dzieci, co się dało rzeczy, za wozem uczepiła trzy krowy, odjechała kilka wiorst i obozuje od tygodnia w krzakach, należących do włościan nowosuskich. W przeddzień właśnie poszła do wsi po sól, wraca, a tu najstarsza 12-letnia córka opowiada jej z płaczem, że przyszedł gospodarz z Rzekunia, wybrał najlepszą krowę i uprowadził. Był już wieczór, więc dopiero nazajutrz rano poszła Załęska za krową, ale złodzieja w opuszczonej wsi nie znalazła. Wróciwszy do dzieci, dowiaduje się, że przyszedł człowiek z N. Suska, wsiadł na jednego z koni i odjechał klusem! Sołtys nowosuski, do którego pobiegła, kategorycznie odmówił jej pomocy.

Oficerowie sztabu, do których się zwróciłem, przyznali, iż w podobnym momencie odpowiedzialność za cały ład społeczny leży na władzy wojskowej, jako jedynej, i zapewnili mnie, że generał nie może odmówić dopomożenia tej kobiecie. Generał zrazu wpadł w gniew, zdawało mu się bowiem, iż przychodzę ze skargą na żołnierzy. Gdym mu wyjaśnił, iż tu nie o wojsko chodzi, a o ludność, która się nawzajem krzywdzi, korzystając

z tego, że niema policji, uspokoił się, lecz wcale nie chciał słuchać i o czem innem począł mówić.

Upakowaliśmy się, biorąc jedynie rzeczy najpotrzebniejsze z bielizny, ubrania, trochę pościeli, futra, srebra stołowe. Służbie przeznaczyło się, kto ma jakimi końmi jechać. Mieliśmy wszyscy udać się przez Ostrów, Łochów do Turny, majątku mego siostrzeńca, Kazimierza Popiela, w powiecie Węgrowskim. Gdy jednak wszystko już było gotowe, smutek nieopisany ścisnął serca i zdobyć się na porzucenie tego gniazda, gdzie się dzieci moje rodziły i wzrosły, tych pól, gdzie w każdej skibie było tyle naszej pracy i nadziei, nie mogliśmy. Służba zapłakana odczuwała to samo. Odłożyliśmy wyjazd do następnego wieczoru. Nazajutrz rano do roboty nikt nie poszedł, pogoda była przesłiczna, gdy więc koło siódmej rano wyszedłem na podwórze, żal bezdenny mnie ogarnął, iż tak ręce opuściliśmy, skoro jeszcze wszystka nadzieja ocalenia nie jest stracona. Służba i robotnicy wygnancy poczęli ubolewać, że się oto ma porzucić tyle zboża, tyle chleba; zawołałem: „a więc, moi kochani, na ochotnika, kto chce, niech rusza w pole do roboty”! W godzinę potem żniwiarki i kosy kładły owies i jęczmień, a snopki żyta fruwały na sterty. Pamiętam zdumienie, na ten widok, p. Węgrzeckiego, powracającego z Lubotynia. Przywiózł wiadomość, że tam, o 30 wiorst dalej od Narwi, szerzy się już bezładna panika, ludzie przestali zboże żąć i zbierać. Na drugi dzień wyjechał pan W. ostatecznie do swej rodziny.

Następnego dnia działa huczały, jak nigdy jeszcze, a wieczorem rozpromieniony generał oświadczył nam: „Dużoście państwo ryzykowali, ale teraz możecie pozostać, Niemców pobiliśmy, odparliśmy”! Sztab i wszyscy żoł-

nierze byli uradowani. Dowiedzieliśmy się, że gdy dotąd stale wolno było z każdego działu wystrzelić tylko 8 razy na dzień, to, wobec zbyt szybkiego posunięcia się Niemców, przyszło pozwolenie dać przez jeden dzień wyjątkowo, po 750 strzałów z działu. Odrazu Niemcy zostali pobici, za Narew przegnani. „Gdybyśmy tak mogli ciągle strzelać, niedługo byłibyśmy w Berlinie!”—mówili żołnierze. I rzeczywiście miało się wrażenie, iż prawdę mówią.

Przyprowadzono kilkunastu jeńców. Stanęli przed gankiem, rozmawialiśmy dłuższy czas z nimi; kilku było Poznańczyków; o polityce mówić nie chcieli, jednak odezwę W. Księcia do Polaków wszyscy znali, opowiadali, że wkrótce po jej wydaniu rozeszła się, w tłumaczeniu polskim, w tysiącach egzemplarzy po całej armii niemieckiej między żołnierzami Polakami. Wszyscy jeńcy byli mizerni, źle zbudowani, co stanowiło dziwny kontrast z konwojującymi ich żołnierzami rosyjskimi: ci chłop w chłopu wszyscy przystojni, tryskający zdrowiem. „Cóż z tego, mówił jeden z oficerów, nasi mają tornistry pełne chleba, a tamci ładunków!” Jeden z żołnierzy rosyjskich pokazywał z dumą bagniet swój, ubroczony krwią: ochraniał go, aby się brunatne plamy nie obtarły.

Jednak tryumf IX dywizji był krótki, i pierścien ognia niemieckiego zaciskał się koło nas. Niemcy zajęły cały Szczawin, słyszeliśmy, że bratowa wyjechała z dziećmi na kilka dni przedtem, ale nie pewnego dowiedzieć się nie mogliśmy. Chwilowo wyparci z Borawego, zajęli je Niemcy z powrotem, od Wschodu też Narew przeszli i zbliżali się. Dziewiąta dywizja nigdzie nie cofała się, lecz z dwóch stron obchodzona, długo utrzymać się nie mogła.

Przygotowania raz już uczynione do wyjazdu tak nas przygnębiły, iż teraz do opuszczenia Suska mogła

nas zmusić tylko przemoc, albo też takie zniszczenie, że bez otrzymania indemnizacji dalsze gospodarowanie byłoby niemożliwe. Służba nasza jednomyślnie oświadczyła, że co my zdecydujemy i uczynimy, to i oni. Kurpie mieszkający u nas i w okolicy kategorycznie zapowiadali, że dalej się pędzić na tułaczkę nie dadzą, że choćby ich Kozacy raz jeszcze nahajkami bili, a nawet pałaszami rąbali, wolą zginać, a zostaną, aby być zajęci przez Niemców i do swoich siedzib powrócić. Z drugiej wszakże strony, chłopci i szlachta z pobliskich wsi Kaczyny—Stara wieś, Kaczyny — Toblice, Kaczyny — Wypychy, Borawe, Wojciechowice, Teodorowo, Laskówiec, opowiadali, jedni z oburzeniem, drudzy z płaczem, takie szeregóły o ich wygnaniu ze wsi ogniem i nahajkami, iż na wszystko najgorsze należało nam być przygotowanymi. Ostatniego momentu z powzięciem decyzji też czekać nie można było, albowiem choćby nas wojsko regularne na razie pozostawiło, to bezwarunkowo zabrałoby nam, odchodząc, wszystkie konie, a gdyby następnie kozacy nas batami wypędzili, musielibyśmy iść w świat pieszo i naturalnie bez żadnych rzeczy.

Komitety Obywatelskie rozdały były druki do sporządzania protokularnych opisów gospodarstw i dobytku, w szematy te jednak mało który opis dał się ująć, musieliśmy więc mnóstwu gospodarzy codziennie dawać wskazówki, jak mają protokoły swe redagować. Bardzo pracowicie pomagała w tem moim dzieciom panna Stawiarska. Niestety w naszym powiecie nikt nie mógł na miejscu otrzymać kwitów rek wizycyjnych za zniszczony majątek, z powodu nieobecności władz powiatowych. Wójt naszej gminy, mieszkaniec zniszczonej wsi Borawe, Laskowski, wyjechał niewiedomo dokąd, nasze więc i go-

spodarzy okolicznych protokoły poświadczył wójt sąsiedniej gminy Troszyńskiej.

Wlokły się w dalszym ciągu traktem, przez podwórze nasze, wozy naładowane resztkami dobytku chłopów wygnanych z nadnarwiańskich wsi Wojciechowice, Teodorowo, Laskówiec i t. d. Na wozach i tobołach zapłakane baby i dzieci, przy wozach piechotą chłopów, ponuro zadumani. Radzili się, co czynić, jak daleko odjechać, opowiadali o wypędzeniu ich z domów. Chowali się po stodołach, w zbożu, w krzakach, lecz wszędzie ich „Rusek“ znalazł i wygnał. Widzieliśmy w oczach tych ludzi i czuliśmy w sobie, że tej krzywdy żyjące pokolenia nigdy nie daruje; i nie materialna strona krzywdy jest tu najohydniejsza, a moralna, to potraktowanie narodu polskiego, jak stada bydła!

Właściciel Wojciechowice nad Narwią, p. Feliks Wojciechowski *), od kilkunastu lat nasz sędzia gminny, pragnąc bezwarunkowo pozostać na miejscu wraz z rodziną, urządził w ziemi kryjówkę, osłoniętą balami, słomą i ziemią, gdzie mogli się nie obawiać pocisków, i gdzie przygotowali sobie spanie i zapas żywności. Razem z nimi miał zostać jeden ze służących, zatrzymał też p. W. parę koni i bryczkę. W parę dni po wysiedleniu przemocą wsi, zjawił się u sędziego znajomy pułkownik i począł namawiać go do wyjazdu; widząc go niewzruszonym w postanowieniu, rzekł: „Dotąd mówiłem z panem, jak ze znajomym, obecnie mówię urzędowo, jako pułkownik; jeżeli państwo niezwłocznie stąd nie wyjedziecie, będę zmuszony zawołać żołnierzy i wywieźć was siłą!“ Nie było co dyskutować, pośpiesznie zebrali pp. W. swe manatki,

*) Zamordowany w 1918 r. przez chłopów w gub. Mochelewskiej.

wsiedli na bryczkę i odjechali. Po chwili p. W. spostrzegł, iż zostawił w pośpiechu teczkę z ważnemi dokumentami, zawrócił więc, żołnierze nie chcieli go do domu wpuścić, wymyślali mu, udało mu się jednak przedostać i złapać tekę, którą żołnierze zrewidowali, czy nie zawierała pieniędzy. Po wszystkich pokojach już wojsko otwierało lub rąbało meble, wyciągało wszystko z szaf i szuflad, tłukło lustra i t. d.

Myśmy też, dzięki głównie zabiegliwości panny Piętkówny, przygotowali sobie w piwnicach schronienie. Okna zastawiliśmy workami z piaskiem, w jednej, środkowej piwniczce, ustawiono stolik, lampę, ławki, bańkę z wodą do picia, maszynkę spirytusową do gotowania. Żywność stała w spiżarni, gotowa w każdej chwili do zniesienia do piwnicy.

Intendent korpusu chciał, abym mu młócił owies lub jęczmień, było jednak ziarno trochę jeszcze za miękkie zaproponowałem mu żyto, ofiarował mi 1 rb. 50 kop. za pud na miejscu, już mieliśmy młócić, gdy sztab zaoponował, albowiem dym lokomobili mógł przyciągnąć pociski artylerji niemieckiej.

Widząc energję, z jaką stawiamy sterty, oficerowie sztabu żartowali: „zbierajcie, zbierajcie, łatwiej nam będzie palić”. W rzeczy samej, zboże w małych dziesiątkach ustawione, lub na pokosach leżące, byłoby o wiele bezpieczniejsze. Ale żyto ciąć zaczęliśmy blisko przed trzema tygodniami, było ono już na dwóch deszczach, trzymając je niesprzątniętem, narażało się je na pewne zepsucie lub wysypanie się. Były nadto do zebrania po życie inne rzeczy. Kurpie wystąpili wówczas z następującą ofertą: „Sprząta pan na niepewne, bo to wszystko mogą panu Moskale spalić, a płaci nam pan drogo, niechaj więc pan nie daje codziennie kwitów, a każe zapi-

sywać każdego z nas: jeżeli sprzęt ocaleje, zapłaci nam pan, a jeżeli przepadnie, nie chcemy nic za naszą pracę”.

Wielce wzruszony, podziękowałem im za tę pocziwą propozycję, lecz jej nie przyjąłem. Płaciłem kośnikom 1 rb. dziennie, chłopcom i dziewczynom po 50 kop.

Zjawił się w Susku w chwili tej ksiądz Lissowski, wikarjusz ostrołęcki, najdzielniejszy członek Miejskiego Komitetu Obywatelskiego, powszechnie szanowany. Podczas pożaru Ostrołęki musiał wyjechać, ale po paru dniach postanowił powrócić, wyjednawszy u władzy wojсковej, że mu dano żołnierzy i wozy dla wywiezienia zapasów mąki i kaszy, jakie K. O. miał w mieście, w magazynie dotąd nie spalonym. Przy wjeździe jednak do miasta żołnierze odmówili iść za księdzem do magazynu, położonego na uboczu, nad samą Narwią, i narażonego specjalnie na szrapniele, albowiem po drugiej stronie rzeki stali Niemcy, poszedł więc ksiądz sam. Domy na krańcach miasta ocalały, na rynku trzy czy cztery też, ulicy zwanej Łomżyńską część również. Fara była uszkodzona, plebanja murowana, obszerna i nowa, także, natomiast stary, nędzny, drewniany wikarjat, chociaż o kilkaset kroków zaledwie od Narwi stojący, stał nienaruszony. „Dalibóg miałem, mówił żartem wikary, ochotę sam go podpalić!” Mieszkanie było spustoszone, w swoim sypialnym pokoju zauważył ksiądz brak trzech butelek, stojących na oknie, z których jedna zawierała sublimat. W plebanji, w kuchni, ujrzał kilku żołnierzy, raczących się wędliną, chlebem i winem, podczas gdy na ziemi jeden leżał, drgając jakby w agonji. Na zapytanie, co mu jest, ruszyli inni ramionami: „Bolen”! (chory) odrzekł któryś, i nie przerywali sobie uczt. Zapewne ten wypił sublimat.

Z apteki na rynku były powyrzucane wszystkie flaszki, a wszelkie preparaty zawierające spirytus, między innemi wodę kolońską, żołnierze wypili. Mieszkańców w mieście nie było zupełnie; pozostawać nie było księdzu możliwem i nie byłoby celu.

Myślałem o tem, aby swoją stadninę, złożoną z 35 sztuk pół-krwi angielskiej, wyprowadzić. Komisja rekwizycyjna zapowiedziała nam rekwizycję koni, na której będę mógł i źrebięta oddać, lecz nie jakoś o niej słyhać nie było. Jen. Regulski, do którego się zwróciłem, odpowiedział mi, że Prusacy źrebiąt do wierzchu, ani do armat nie wezmą, nie go więc moja stadnina nie obchodzi. Chcieliśmy źrebięta przepędzić do Turny, co do czego się już dawniej z moim siostrzeńcem porozumiałem, lecz chowane na ogrodzonym pastwisku, rozbiegały się na wolności na wszystkie strony, szczególnie starsze. Próbowaliśmy trzylatki i większe dwulatki uwiązać i poprowadzić za wozami, ale tak się rzucały, ligwały, kładły, iż musieliśmy się i tego wyrzec, bo na odpowiednie ich wytresowanie nie było już czasu. Innych lat o tej porze trzylatki zawsze już były oprowadzane i objeżdżane dla komisji remontowej generała Trankwilewskiego; w tym roku zostawiłem je w stanie dzikim, aby je możliwie uchronić od uprowadzenia przez Rosjan lub Niemców.

Wielki trzypiętrowy nasz spichrz, widoczny na 10 wiorst wokoło, za radą oficerów artylerji, jeszcze na jesieni 1914 r. kazałem od zachodu i północy pomalować na ciemno-szary kolor, aby nie zwracał uwagi. Obecnie urządzono na nim punkt obserwacyjny: dzień i noc wartował na poddaszu żołnierz lub oficer z lunetą. Niebawem samoloty niemieckie zaczęły krążyć nad nim i rzucać bomby, bliżej jednak żadna nie padła, jak o sto kilka-

dziesiąt kroków. Jednę przyniesiono nam całą, nie zerwaną.

Stert stawialiśmy codzień 4 do południa i 4 po południu, a żniwo szło dalej całą siłą. Miałem wrażenie gracza, który wszystko stawia na jedną kartę: albo mi wszystko spala, albo nie zdażą i dostanę się pod Niemca z całym sprzętem. Do stodoł oczywiście nic nie zwoziliśmy. Dzieci moje i panna Stawiarska dzień cały chodziły i jeździły po polach, ludziom ducha dodając. Żaden folwark w powiecie i dalej już wówczas nie nie sprzątał, chłopci również przestali zbierać, jednak bliżsi, widząc u nas tę gorączkową pracę, przychodzili się radzić: namawialiśmy ich do budynków zboża nie zwozić, albowiem to mogłoby gumna narazić na spalenie, gdy tymczasem puste stodoły mogły ocaleć, natomiast radziliśmy zboże żąć, kosić i na polu w małe, tymczasowe sterty ustawiać, co też wielu uczyniło.

Jednej nocy, o dwunastej, przeszedł nad samym naszym domem zeppelin, z szumem ogromnym. Widać go było na tle gwiazdzistego nieba; szedł na Małkin, gdzie zbombardował stację, ale bez skutku wielkiego. Całymi dniami bez przerwy grały działa, kulomioty i karabiny. Nocą ręczna broń i mitraljezy milkły, ale huk armat wydawał się jeszcze głośniejszym; chwilami zdawało się, iż mury nie wytrzymają, runą. Po kolacji wychodziliśmy za ogród, do figury Matki Bożej, i zawsze oświecało horyzont 5, 6, czasem więcej łun, tak bliskich, iż płomienie widzieliśmy, a rakiety i pękające szrapnele dziesiątkami błyskały.

W chwilach największego napięcia nerwów, p. Piętkówna zasiadała do pianina. Przystawialiśmy słyszeć grzmot dział, a „Sonata Księżycowa” Boethovena spły-

wała przedziwnym spokojem w dusze nasze. Niekiedy jednak, uniesionych harmonją w krainę marzeń i zapomnienia, budziło nagle do rzeczywistości gwałtowne wstrząśnienie całego domu w posadach.

W niedzielę dn. 1 sierpnia córka moja dokonała ogólnej wypłaty najmu. Zresztą od pewnego czasu wypłacaliśmy na żądanie kwity robocizny każdego dnia i o każdej godzinie. Wieczorem robotnicy, będący „na życiu”, otrzymali ordynarję na następny dzień. Tegoż dnia rano przyszedł do mnie młody szlachciec ze wsi Ołdaki, Władysław Dzbeński. Podczas gdy parobek jego pasł konie na łące, na jednego wsiadł jakiś żołnierz i uciekł galopem do suskiego lasu. Dzbeński poszedł za nim, ale żołnierze stojący przy baterji zwymyślali go i odpędzili, grożąc aresztowaniem jako szpiega; zdawało się jednak szlachcicowi, iż swego konia, nawiasem mówiąc ładną, trzyletnią rasową klacz po moim ogierze, poznał zdaleka. Udałem się z nim do komendanta Białocerkiewskiego, ten dał mu żołnierza, aby go do baterji doprowadził. Po godzinie powrócił D. pod konwojem tego samego żołnierza i drugiego, którego dodał dowódca baterji, z poleceniem ostrzeżenia komendanta, że ten człowiek jest podejrzany o szpiegostwo! Kazał go porucznik B. niezwłocznie puścić i radził udać się do generała Muschelowa, stojącego w sąsiedniej wsi Nowa-Wieś, a od którego owa baterja w moim lesie zależała. Dzbeński umyślił jednak wysłać wprzód jakiś sprytnego chłopaka, niby zbiega żebraka, któryby podszedł prosić żołnierzy o kawałek chleba, i przy tej sposobności ich przepatrzył.

Dnia 1 sierpnia po południu zebrała się znów koło domu naszego gromada gospodarzy z okolicznych wsi, dla pomó-

wienia z nami, co widząc komendant Biłocerkiewski podszedł i oznajmił, że ma ważny papier do zakomunikowania nam. Odczytał świeżo otrzymany rozkaz do armji, zabraniający bezwarunkowo palić domy i zmuszać ludność do opuszczania swych siedzib: kto chce, może usunąć się, a kto chce, pozostać na miejscu.

Uradowali się wszyscy z tej wiadomości, wielu jednak kiwało głowami z niedowierzaniem, czy, gdy przyjdzie chwila stanowcza, rozkaz będzie wypełniony. Udałem się do oficerów sztabu z zapytaniem, czy ten rozkaz nie kasuje rozporządzenia o wysiedlaniu ludności męskiej; otóż tamto rozporządzenie było utrzymane w całej swej mocy, i żadnego mężczyzny od 17 do 50 lat nie miały odchodzące wojska zostawiać za sobą pod żadnym pozorem. Równało się to oczywiście wypędzeniu w świat całej ludności, tembardziej, że usuwania mężczyzn nie dokonywano zawczasu, a w ostatniej chwili, przytem wykonawcami operacji byli Kozacy. Dlaczego jednak, ogłaszając rozkaz zwierzchniego wodza, nie objaśniano zarazem, jakie są jego restrykcje? Z rozmów ze wszystkimi oficerami, którzy u nas przechodzili, przekonałem się, że wierzyli oni bezwzględnie, iż Niemcy niezwłocznie po okupacji zarządzą pobór rekruta. Stąd płynął rozkaz usunięcia mężczyzn zdolnych do broni, ale ponieważ w praktyce pociągało to za sobą barbarzyńskie wysiedlenie również starców, kalek, kobiet i dzieci, naczelna komenda, wydając „dla Europy” humanitarne odezwy do ludności, pozostawiała do uznania generałów załatwienie sprawy na miejscu. Generałowie dawali swym podwładnym instrukcje dwuznaczne: „nie nakazuje wam się chłopów wyganiać ze wsi, lecz pożądanе jest nie zostawić Niemcom ani jednego rekruta”. Wiem o tem z ust

samych oficerów. W tych warunkach charakter osobisty, głównie generałów, ale także niższych oficerów, grał przeważną rolę. Niestety rok wojny już litość z serc ich wypędził, a u bardzo wielu nienawiść do Polaków ujęcie sobie w dokuczaniu naszej ludności znalazła.

Dn. 2 sierpnia postawiliśmy nowe 8 stert żyta, a żniwiarki i kosy dalej kładły pszenicę, jęczmień i owies. Ta gorączkowa praca na Susku, gdy w całej okolicy życie na polach zamarło, zaczęła zwracać uwagę armji. Zauważyłem u oficerów pewną podejrzliwość, jakby zdenerwowanie naszym postępowaniem, tembardziej, iż o wyjeździe przestaliśmy zupełnie wspominać, a gdy mówili o odwrócie, ostentacyjnie upewnialiśmy ich, iż będąc bronieni przez tak dzielną dywizję, pewni jesteśmy że Niemcy nie przyjdą.

Rabunek owsa i konieczyny przez żołnierzy trwał dalej, jużesmy się opędzania od rabusiów wyrzekli, natomiast wywiązało się jakby jakieś oryginalne współzawodnictwo: walczyliśmy z nimi o lepsze, na wyścigi, kto pierwszy zdąży, czy my sprzątnąć, czy oni nas ograbić!

Miesiąc przedtem, w końcu czerwca, próbowałem jeszcze zebrać w Susku gospodarzy na posiedzenie Tow. Rolniczego, aby omówić, jak postąpimy w razie wyjazdu, a jak, jeśli zdołamy pozostać na miejscu, lecz zeszło się tylko 8-miu czy 9-ciu, a ci niezdolni byli zebrać myśli. O porozumieniu się z ziemianami nie było również mowy.

Wieczorem zrobiliśmy znów wypłatę dzienną. Dnia 3 sierpnia, we wtorek, postawiliśmy do południa 4 sterty żyta, wiązałka żęła jęczmień, 2 żniwiarki owies, a dwudziestu kilku Kurpi kosiło pszenicę. Od południa zaczęliśmy 4 nowe sterty, ale kośników przyszło o kilku mniej, wpadli bowiem w południe żołnierze, zrzucili z kilku wo-

zów, stojących w oborze, całe mienie Kurpi wygnańców, a mężczyźni z końmi i wozami zabrali na podwody.

O godzinie 3-ciej byłem w domu, gdy rozległ się przerażający huk, za nim drugi, trzeci. Wybiegam, a oficerowie mówią mi, iż to stację kolei wysadza się dynamitem. Panna Stawiarska, córka moja i syn starszy byli przy stertach i żniwie, każę więc Stefkowi siadać na koń i pędzić w pole, uprzedzić ludzi, aby roboty nie przerywali, bo to tylko stację burzą Rosjanie. Wybuchy trwały dalej, a równocześnie grzmiała silna kanonada: to Niemcy usiłowali przeszkodzić rosyjskim saperom psuć stację, kierując na nią ogień; starszy syn mój, podjechawszy konno, widział niemieckie granaty, rozrywające się i rozpraszające gęsty dym wybuchów dynamitowych. Ludzie nasi, osłupiawszy przez chwilę, dalej pracowali.

Gdym się przypatrywał zdala widowisku, przybiegł służący z wiadomością, iż generał prosi mnie do siebie. Generał wziął mnie na bok i oznajmił, że otrzymał rozkaz cofnięcia się z całą dywizją, odjeżdża więc niezwłocznie.

— Za ile czasu mogą tu być Niemcy? — zapytałem.

— Na to panu odpowiedzieć nie potrafię. Radzę tylko państwu wyjechać jaknajprędzej.

Udałem się do oficerów i dowiedziałem się, że skoro cały sztab dywizji się usunie, dom i folwark zajmie stojący dotąd w Przytułach sztab pułku, walczącego w okopach, a po piechocie przyjdą, kozacy i to nie Orenburscy, naszego przyjaciela Leonowa, a Astrachańscy. O brutalności pułkownika, stojącego w Przytułach, słyszałem już dużo, a esauł Kozaków Astrachańskich od kilku dni mieszkał w Susku, i z rozmów z nim, nie mówiąc już o zwierzęcym wyglądzie, mieliśmy o nim zastraszającą

opinię. Tragicznie się więc rzeczy zapowiadały. Nadzieja pośpiesznej i bezładnej ucieczki Rosjan upadała, odwrót miał się odbyć systematycznie, a więc zapewne wojsko cały swój zwykły program wykona. Należało ludzi z pola ściągnąć, i oznajmić im, jakie jest położenie. Posłałem stangreta na koniu, i w pół godziny wszyscy byli w podwórzu. Żniwiarki kazałem zostawić na polu.

Jedynie niespodziewane, piorunujące obejście przez Niemców mogło nas ocalić. Nie było ono, uważałem, niemożliwe, ze względu na bliskość Narwi, nad którą na-przeciwko nas stały wojska niemieckie, i na głębokie ich już posunięcie się za rzekę z lewej i prawej strony. Dałem więc ludziom instrukcję taką: powoli, nie spiesząc się, podjechać do szopy, nakłść na wozy koniczyzny, wziąć obrok ze spichrza, zaciągnąć wozy przed mieszkanie, konie odprowadzić do stajni, nakarmić; gdy wojsko zacznie nalegać o wyjazd, wynosić jaknajwolniej rzeczy na wozy; jeśli trzeba będzie wyjechać, posuwać się stępą, a na pierwszy sygnał stanąć. Dla nas kazałem powóz i bryczkę przygotować i 3 wozy pod dom doprowadzić.

Ostrzegali nas oficerowie, iż szosa do Ostrowia zawalona jest obozami i artylerją, i radzili jechać boczną drogą. Trafiało nam to tembardziej do przekonania, iż jedynie przy bocznych drózkach mogliśmy ewentualnie gdzieś się ukryć i zatrzymać. Wyrzekliśmy się przeto projektu jazdy w Węgrowskie, do Turny, a wskazaliśmy służbie marszrutę: Kleczków, Śniadów, Zambrów, dalej Wysokie Mazowieckie, Wojciechy. Wszyscy wygnańcy Kurpie, jacy u nas byli, trwali w postanowieniu nie dać się, nawet przemocą, zmusić do ruszenia na dalszą tułaczkę. Bardzo dobrze oddziaływali oni na naszą służbę.

Usłyszałem dziwny hałas: w ogrodzie owocowym

kilkudziesięciu żołnierzy i zbiegów trzęsło z prawdziwą furją owoc i wypychało sobie nim usta i kieszenie; za ogrodem, w chlewach, żołnierze zarzynali dwa nasze ostatnie wieprzki, zaś dokoła kurników łapali drób i zabijali, tłukąc go o ogrodzenie. Wtem ujrzałem kapitana Wojkowa, prezesa komisji rekwizycyjnej.

— A co będzie z pańskimi żrebiętami? — zapytał.

— To ja pana zapytuje! odrzekłem. Od tygodnia obiecywaliście mi ciągle rekwizycję koni, której byłbym je oddał, do czego mi daje prawo świadectwo urzędowe na stado zarodowe. Teraz pan obowiązany stadninę moją wziąć, mam jej spis i szacunek dokładny, przez wójta poświadczony.

— Teraz nie czas na rekwizycję, krzyknął Wołkow, postrzelamy żrebiętom we łby i sprawa skończona.

— Dobrze, proszę bardzo, dla mnie to zastąpi w zupełności rekwizycję.

Nie odpowiedział nic i oddalił się. Wróciłem na podwórze, obawiając się, żeby odchodzący żołnierze ekscesów jakich się nie dopuścili; ruch panował ogromny, lecz zajęci byli wszyscy jedynie wyjazdem, siodłali, zaprzęgali konie, ładowali rzeczy na wózki. Zaczęli podjeżdżać nasi fornale i powoli, podług instrukcji, kłaść koniczyne na wozy drabiaste. W domu zastałem szukającego mnie porucznika Pawczyńskiego, aby mi zapłacić 180 rb. za 2 morgi owsa, które był kupił w ostatnich dniach. Oficerowie radzili nam, abyśmy, wyjeżdżając, zostawili kogoś w domu. Stary nas służący, Ignacy Siwek, wyraził gotowość pozostania. Tomasz Dawid i Mateusz Sobiech oświadczyli nam też, że, w razie potrzeby, zostaną w domu naszym i będą się nim opiekowali aż do chwili, gdy będą

mogli do siebie powrócić. Bardzo byliśmy im wdzięczni, znając ich ucieźliwość.

Było koło godziny wpół do piątej, gdy mi dzieci moje powiedziały, że sterty się palą. Ociągałem się długo pójść patrzeć, porządkowałem, chowałem do kuferka i walizki różne dokumenty, papiery. Gdym wyszedł, sterty pierwsze podpalone żarzyły się jak główne, inne płonęły jak pochodnie, a ze wszystkich wznosiły się skośnie, z lekkim wiatrem, wstęgi czarnego dymu. Za spichrzem ujrzałem jedno morze dymu: to owies na pniu palił się. Podobno kilkanaście razy go żołnierze nadaremnie podpalali, aż się nareszcie zajął. Po innych polach żołnierze biegali i zapalali snopki w dziesiątkach. Widok był wstrząsający, nieprawdopodobny, zdawało się że to nie jawa, a sen straszliwy!

Na zachodzie czerniały dwie ogromne chmury dymu: to płonęły liczne budynki, otaczające stację, oraz folwark Ławy. Spojrzałem ku mieszkaniom służby: stali ludzie niemi, zapatrzeni w zniszczenie.

Podszedłem ku spichrzowi, żołnierze wciągali do środka kulomioty. Synowie moi wołali na Kurpi, aby kto może biegł do śpichrza i brał ile zdąży mąki, żyta i owsa. Pełno kręciło się żołnierzy, ustawiali na parterze kulomioty, ale że okna były za wysoko, musieli nosić z podwórza bale, deski i drzwi od budynków, robić pomosty, a na nich dopiero mitraljezy przez okna wystawiać. Zaraz za spichrzem był już wykopany długi okop. Gdym szedł z powrotem ku domowi, przybiegł Tomasz Dawid z wiadomością, że w oborze i stajniach żołnierze rozlewają miejscami jakiś płyn z butelek, zdaje się naftę. To samo mówili inni. Te płonące wokół zboża, spichrz zamieniony na fortecę, okopy, przygotowania do

spalenia budynków, podczas gdy na całym froncie, po krótkotrwałem ostrzeliwaniu stacji, zaległa zupełna cisza, oznaczająca, iż Niemcy spokojnie czekają odejścia od nas Rosjan, to wszystko dało mi do zrozumienia, iż wyjechać będziemy prawdopodobnie musieli.

Zabiegła mi w tej chwili drogę starsza kobieta z gołą głową, zdyszana, wołając: „Gdzie syn mój! Gdzie syn?” Poznałem matkę Dzbeńskiego. Opowiedziała mi, że w ich wsi żołnierze zaczęli wyrzucać ludzi z domów, palić, a syna nie mogła się z Suska doczekać, przybiegła więc go szukać. Niestety nie wiedziałem, co się z nim stało.

W domu znalazłem kilku zbiegów, łązących po pokojach i oglądających rzeczy przez nas nie zapakowane. Zrobili mi wrażenie hjen, krążących dokoła rannych. Wypędziłem ich ze złością.

Widząc chorążego Leonowa, rzekłem mu: „Pańscy Kozacy bardzo wprawnie palą nasze zboża”.

On się uśmiechnął: „Nie, panie, odpowiedział, moi Kozacy nic nie palą, a saperzy, może się pan o tem sam przekonać”.

Synowie moi, pozostawszy na podwórzu, widzieli, jak saperzy zasadzali w jedną z rur ogniowych lokomobili ręczną bombę i przeciągali długi sznurek, za pomocą którego mieli zdaleka wywołać wybuch. Tymczasem p. Stawiarska i moja córka taki wstyd zrobiły oficerom sztabu z powodu słów kap. Wołkowa, że, bez wiedzy jenerała, ofiarowali nam sześciu kozaków orenburskich, którzy mieli zaprowadzić stadninę, gdzie im każemy. Żebym był pewny, że Wołkow źrebięta powystrzela, byłbym wołał się odrazu całego kłopotu pozbyć, bo wynagrodzenie wówczas byłbym napewne dostał, ale zostawić 35 rasowych źrebiąt na zgubę nie można było, chociaż z drugiej

strony nie wyobrażałem sobie, jak je Kozacy zdołają doprowadzić, zwłaszcza wśród zapechania dróg wojskiem. Wspomniałem o tem oficerom, ale się roześmieli: „Może niktby tego nie zrobił, lecz Kozacy wszystko potrafią, przekona się pan!” Wskazałem Kozakom Wojciechy i obiecałem, że na miejscu dostaną po 3 rb., dałem w tym celu Leonowowi krótki list do Kurcyusza.

Zwróciłem się do sztabu, żądając, aby mi wydano zaświadczenie o spaleniu zbiorów. Szef sztabu obiecał mi, że je dostanę, lecz nie w tej chwili, bo kancelarja i pieczęcie już wysłane naprzód do wsi Choromany, o kilkanaście wiorst, gdzie sztab będzie nocował, niechaj więc tam przyjadę, a świadectwo dostanę.

Jenerał i oficerowie pożegnali się z nami wszyscy serdecznie, wsiedli na konie i odjechali. Zostali tylko jenerał Muschełow i chorąży Leonow. W tej chwili przybiega stangret Tomasz Kielczewski i opowiada, iż żołnierze kapitana Wołkowa łapią źrebięta. Wybiegłszy na „grund”, gdzie się pasła stadnina, ujrzelśmy istotnie 5 czy 6 żołnierzy na koniach, ciągnących na linkach troje źrebiąt. Zjawili się również Kozacy i zrobił się zamęt, wśród którego trudno było coś odróżnić. Ostatecznie Kozacy jedno z trzech źrebiąt żołnierzom odebrali, a dwoje, klaczkę półtoraroczną i wałacha 2—letniego żołnierze za Wołkowem poprowadzili. Resztę Kozacy w szalonym galopie, wśród okrzyków, pognali na przełaj przez łąki.

Była mniejwięcej godzina 6-ta, gdyśmy się dowiedzieli, że cała służba nasza odjechała. Widząc pola w ogniu, armaty w podwórzu, okopy dokoła, ogarnięci zostali lękiem i ruszyli w drogę! Nie dziwiłem się im i nie mogłem mieć za złe tego pośpiechu. Pewien jestem, że nie byliby odjechali, gdyby nie przekonanie, iż Niemcy

wszystkich mężczyzn zdatnych do noszenia broni natychmiast wezmą do wojska. Napróżno upewnialiśmy ich, że są w błędzie, nadaremnie mówili im to samo Kurpie, którzy czas jakiś byli już zajęci przez Niemców. Wojska rosyjskie od kilku tygodni szerzyły usilnie tę pogłoskę, żołnierze opowiadali, że wzięli do niewoli chłopów polskich z Królestwa, gwałtem wcielonych do armii niemieckiej.

Zostaliśmy sami: p. Piętkówna, p. Stawiarska, moje dzieci i ja, Ignacy, kucharka, pokojówka i służąca. Jeszcze przychodziło nam na myśl: „a może nie jechać?” Szczególnie nalegała Madlenka: gotowa była zostać choćby sama z dzielną swą towarzyszką, panną Stawiarską. Ale prócz nich pozostać mogliśmy, w najlepszym razie, tylko Stefek, Ignacy Siwek i ja, ze względu na nasz wiek. Zresztą nikogo, bezludna pustynia dokoła. A i nas, zwłaszcza panny, co jeszcze czekać mogło, od pułku piechoty i od Kozaków! Rozum nakazywał wyjechać. W ostatniej chwili Janek naprędce opakował i na wóz wrzucił jeszcze dwa cenne meble z XVIII-go wieku. Szafę gdańską, dla której nie było miejsca, rozebrał, wyniósł na strych i przykrył różnemi rupieciami.

Pałace się wsie i folwarki znaczyły się coraz to nowemi chmurami czarnego dymu, od północy Przytuły, na południo-zachód Czarnowiec i wielka wieś Rzekuń: z kłębow dymu wyłaniały się chwilami wieże kościoła, wciąż całe. Mówił nam na wyjeździe generał Regulski, iż nie kazał kościoła niszczyć.

Oznajmił nam chor. Leonow, że pozostanie, aż nadejdzie sztab pułku, poczem odjedzie ze swymi Kozakami do Czarnowca. „Póki tu jestem, mówił, ani państwu

ani domowi nie się nie stanie”. Nie rzekł ani słowa, aby nasz wyjazd przyspieszyć.

Ignacemu Siwkowi zapłaciłem pensję za sześć miesięcy z góry, zostawiłem mu 75 rb. na jego pierwsze potrzeby i napisałem mu po polsku, z pieczęcią, upoważnienie do opiekowania się domem i wszystkim, co zawiera. Panna Piętkówna doręczyła mu klucze od wszystkiego. Jemu i rodzinom Sobiecha i Dawida oddaliśmy na własność wszelkie zapasy, jakie zostawały w spiżarniach, drób o ile ocalał, dwoje cieląt i czworo rocznych jagniąt, które zostawiliśmy sobie do jedzenia wraz zająć nas przez Niemców. Wtem Stefek przyniósł mi ową nietkniętą bombę, rzuconą na spichrz z aeroplanu; otworzyłem lufcik w salonie i puściłem ją w krzewy, nie bez pewnej emocji, czy nie wybuchnie. „Jeśli kiedy tu powrócimy, rzekłem, odnajdziemy ją, i będziemy mieli pamiątkę”.

Rzeczy były na wozach, powóz i bryka zaprzężone czekały przed domem. Nastąpiła chwila tragicznego spokoju. W milczeniu, jak błędni, chodziliśmy po domu. Czas jednak upływał, wieczór zachodził... Zwlekać dłużej nie można było, albowiem stangret, forys i służba, których rodziny odjechały, ryzykować zajęcia przez Niemców, zdala od swoich, nie chcieli. Trzeba było albo ich puścić dając im konie, bryczkę i wozy, albo odjechać niezwłocznie z nimi. Zebraliśmy się na ganku i żegnaliśmy pozostających. Siwka, Sobiecha i Dawida ucałowałem jak braci, wszyscy mieliśmy oczy łez pełne. Na uboczu stali generał Muschelów i Leonow, też wzruszeni, kiwając smutno głowami. Nareszcie o siódmej ruszyliśmy w drogę.

CZĘŚĆ II.

KOŃMI OD NARWI DO BEREZYN.

Panna Piętkówna, p. Stawiarska i córka moja jechały powozem w parę koni, ja zaś z dwoma synami bryczką. Nie wzięliśmy drugiego powozu, albowiem nie miałem z synami jechać wprost traktem do Śniadowa, a gonić polnemi dróżkami sztab dywizji, ażeby otrzymać poświadczenie zniszczenia. Za nami jechały trzy wozy z rzeczami.

Przygnębiające wrażenie czyniły domy, w których mieszkało trzydzieści kilka rodzin naszej służby: drzwi i okna otwarte, resztki rzeczy porozrzucane, cisza grobowa na miejscu zwykłego zgiełku, ani człowieka, ani psa, ani kury nawet. W kilka tygodni potem jeszcze ten widok wspominaliśmy jako jeden z najwięcej wstrząsających.

Zaraz za mieszkaniem służby ujrzelśmy wykopany wzdłuż gościńca okop, zresztą płytki. Dzień miał się ku schyłkowi, na prawo dwadzieścia dwie z naszych stert, zapalonych po południu, mieniły się zarzewiem dziwnie czerwonym; dalej, jak okiem sięgnąć, dym się rozpostarł nieskończoną mgłą, łagodnym wiatrem niesioną ku północy. Na lewo jęczmień stał nieruszony w snopkach, ustawionych po kilka; na niektórych gromadkach widać było ślady podpalenia, zezerniałe miejsca, lecz świeżo ścięty, nie dał się zapalić. Od zachodu, północy i wschodu płonące wsie widniały każda ogromną czarną chmurą.

Ó pół wiorsty, u skreću drogi, gorzała murowana szopa kryta słomą, pusta zupełnie. Dojeżdżając do niej, przypomniałem sobie, iż mamy na bryczce wziętą w ostatniej chwili paczkę kwitów dziennej robocizny. Było ich na blisko 10 tysięcy rubli, nie można więc było ich zostawić, bo gdyby kto je sobie przywłaszczył, mógłby potem mnie wyzyskiwać. Kazałem przystanąć i syn mój wrzucił je w ogień. Przechodzący dwaj żołnierze przyskoczyli i usiłowali palącą się paczkę drągami wydostać, lecz im więcej ją poruszali, tem się więcej kwity rozsypywały i płonęły.

Gdyśmy mijali naszą granicę, paliła się długa wieś Nowy-Susk. Nie wiedzieliśmy, czy mieszkańcy są jeszcze we wsi, czy zostali przedtem z niej wygnani. Kilkanaście lat temu, cała ta wieś w moich oczach została, po separacji służebności, przeniesiona na nowe siedliska, domy więc były wszystkie nowe, wiele murowanych, dokoła każdego były nowe parkany, drzewa owocowe, brzozy, topole i wierzby, w ogóle cała wieś wyróżniała się porządnym, kulturalnym wyglądem. Ze zgrozą patrzyłem na zniweczenie dorobku tylu starań i wysiłków.

Przystanęliśmy, ściemniało się. Cisza panowała zupełna. Zdala na łąkach naszych, pod lasem, na wielkiej drewnianej szopie, zapełnionej sianem i konieczyną, ujrzelśmy przy ziemi błyski, następnie jakby ogniste węże pełzające w górę: żołnierze przykładali zapalki i płomień chwytał się siana wystającego między pionowemi deskami szopy. W kilka minut pożar objął ją całą. Wiatr ustał zupełnie, więc z tych kilku tysięcy pudów suchej paszy rzucił się prosto ku niebu olbrzymi, płomienisty słup. Pomimo bólu, ściskającego serca, nie mogliśmy nie odczuć tragicznej wspaniałości tego widoku, na czarnem tle lasu.

W tem, u pierwszego z ośmioraków, w których mieszkała nasza służba, jał się przez dach wydobywać gęsty dym. Po chwili koło komina buchnął płomień i cały dach stanął w ogniu. Niebawem zajął się drugi ośmiorak, za nim szybko trzeci, i murowany czworak. Zapaliła się stajenka za ogrodem, gdzie latem nocowała stadnina, następnie zajaśniał dokoła ogrodu parkan ognisty; musiano go w kilku miejscach jednocześnie podpalić.

Z powodu obfitości dużych drzew wokoło dworu i w podwórzu, nie mogliśmy rozeznaczyć, co dalsza pożoga obejmowała. Widzieliśmy coraz nowe kłęby dymu, wydało nam się, iż płonąć muszą dwie lodownie kryte słomą, stajnie, obory, dawna gorzelnia, mieszcząca mieszkania, warsztaty, mleczarnię i t. d., i t. d.

Na północo-wschodzie zawisły nowe chmury dymu nad wsiami Zabiele, Nowa-Wieś, Ołdaki.

Ruszyliśmy dalej, była już prawie noc. Dokoła, na chłopskich polach, świeciły się setki drobnych ognisk, to dogorywające „dziesiątki” pszenicy, żyta, owsa, jęczmienia, lnu. Gdyśmy się zbliżali do wsi Janochy, rozległ się na lewo jeden, drugi, trzeci głośny huk. Przez chwilę myśleliśmy, że może nas Niemcy obeszli i zajmą, aż dogonił nas konno generał Muschelów i objaśnił, że to wysadza się linja kolei. Stała w ogniu pobliska budka dróżnika kolejowego.

Moi synowie i ja dopędziliśmy sztab dywizji we wsi Mieczki i tam około godziny 2-ej w nocy udało mi się z wielką trudnością, dzięki głównie kniaziowi Mikeladze, uzyskać świadectwo zniszczenia krescencji i narządzi rolniczych. Do Ostrowia przyjechaliśmy około 5-ej rano, a wkrótce nadjechały nasze panie, które były zatrzymane po drodze złamaniem się koła u jednego z wozów wio-

zających nasze rzeczy, lecz na szczęście znalazł się stelmach, który je naprawił.

Z Ostrowia przez Zambrów, przenocowawszy w Porzycem p. Tadeusza Woyczyńskiego, dojechaliśmy do Wysokiego Mazowieckiego, coraz więcej po drodze spotykając rodzin ziemiańskich i masy chłopów uciekających z całym swym dobytkiem.

Z Wysokiego Mazowieckiego 22 wiorsty, przeważnie boczną drogą, jechaliśmy do majątku Wojciechy. Tu spotkała nas iście staropolska gościnność. Oprócz właściciela, Władysława Kurcyusza, naszego kuzyna, bawiła w Wojciechach jego matka i jego siostra z mężem, p. Zielińskim, właścicielem majątku Żeńbok w Ciechanowskiem. Każde z nas otrzymało swój pokój i pyszne łóżko!

Jadąc do Wojciech, sądziliśmy, iż tu spokojnie i bezpiecznie pozostać będziemy mogli do końca wojny; wobec tego jednak, iż rosyjskie wojska dalej cofać się miały, Wojciechy czekał ten sam los, co Susk, trzeba nam więc było myśleć o wyruszeniu dalej. Wahaliśmy się nad tem, jaką miejscowość wybrać na zamieszkanie, Wilno, Mińsk, Charków, Kijów, czy też Krym. Mieliliśmy nadzieję, że kapitan Śliwiński, mieszkający w Siedliskach, majątku barona Józefa Dangla *) pod Czyżewem, a który p. Grochowskiej ułatwił kilka tygodni przedtem wyjazd z Ostrołęki, będzie nam teraz mógł dać wagon z Czyżewa.

Nazajutrz po naszym przyjeździe zjawili się Kozacy, którzy się podjęli naszą stadninę przeprowadzić tu z Su-

*) B. wiceministra Skarbu, obecnie dyrektora Banku Handlowego.

ska: zgubili w drodze jedną trzylatkę i troje źrebiąt tegorocznych. I tak spisali się nadspodziewanie dobrze,

Należało mi jechać do sztabu XII armji po odszkodowanie. Poinformowano mnie, że do Choroszczy, gdzie stał sztab, jest czterdzieści kilka wiorst; wyjechałem bryczką o 8-ej rano dnia 7 września. Droga była kręta, piaszczysta, a gdzie tylko mogłaby być twarda, setki fur chłopskich woziły gałęzie sosnowe, a na to piasek, tak że przejechać było trudno. Nie rozumiałem tej gorączkowej reparacji dróg w przewidywaniu błot jesiennych, gdy było wiadomem, iż za tydzień najdalej będą tu Niemcy, i że oni tylko na jesieni z tej reparacji korzystać będą.

Grunta przydrożne były bardzo ubogie; widać już było różnicę klimatu: podczas gdy u nas lny były wszystkie zebrane, tutaj zieleniły się, na niektórych zagonach nawet dopiero kwitły. Po kilku godzinach zaczęły się wielkie obszary łąk, coraz piękniejszych; w kilku miejscach kosili je chłopi przy drodze; jak żyję nie widziałem podobnych pokosów: ściana trawy równała się wzrostem i gęstością napięknierzemu owsowi.

Koło godziny pierwszej dojechaliśmy do jakiejś rzeki, na której stał most drewniany, a o kilkaset kroków budowano pośpiesznie drugi. Dowiedziałem się, że zwie się „Biała Rzeka”. Po drugiej stronie leżała osada Suraż, a na górze kościół i opodal zielona cerkiew. Mieszkańcy prawie sami żydzi. Pytałem się o herbarciarnię, ale mnie objaśniono, że herbaty mogę dostać tylko w aptece. Tu w ciasnej, brndnej izdebce, zastawionej stoikami i torebkami, zastałem starego Żyda, krótko ubranego, w okularach. Zaprosił mnie do przyległego pokoiku, gdzie na stoliku ceratą okrytym leżały

resztki chleba i sera, i w tej chwili zabrał się do nastawiania mikroskopijnego samowarka. Obok mieszkała rodzina chrześcijańska, która podjęła się zrobić mi na prędce jajecznicę.

Okazało się, że „Biała Rzeka” jest Narwią, stanowiącą tutaj granicę guberni Łomżyńskiej i Grodzieńskiej. W aptekarzu znalazłem typ ciekawy, nazwiska jego nie pamiętam. Trzymał on urzędowo skład apteczny, ale zajmował się leczeniem całej okolicy. Mówił prędko, mieszaniną języka polskiego i rosyjskiego, miał masę gazet rosyjskich i zaraz zaczął mi głośno czytać mowy socjalistycznego posła Czcheidze, oraz Żyda Friedmana w Dumie. — Jeden syn aptekarza jest na wojnie, drugi jest lekarzem w Tomsku; stary, jako niezdolny do pracy, otrzymał pozwolenie osiąść przy tym ostatnim, ale że mu się przykrzyła bezczynność, podał prośbę o pozwolenie na otwarcie w Tomsku małego składu aptecznego: natychmiast został z Syberji wysiedlony i przyjechał do Suraża, Co za absurd równocześnie wysiedlać Żydów z pasa bliskiego działań wojennych, a tego Żyda z Tomska sprowadzać gwałtem pod sam teren wojny! „Sprawa moja”, krzyczał aptekarz, „jest w senacie, muszę ją wygrać! Mam dwóch synów, przy jednym nie dadzą mi żyć, a drugiego wzięli na wojnę, niech mi go oddadzą, albo niech nie bronią żyć przy tamtym!” Przy-pomniałem sobie, że o tej sprawie czytałem w pismach rosyjskich. Przepowiadał przy tem stary aptekarz Rosji przegranie wojny i straszne kataklizmy wewnętrzne. Wyglądał jak prorok, zapowiadający koniec Babilonu.

Co do Suraża, dowiedziałem się, że, poza Żydami, ludność jest katolicka i polska, prawosławni są tylko pop z rodziną, uriadnik i strażnicy. Pop zresztą dobry czło-

wiek, z księdzem żyje w doskonałej komitywie. Nagadawszy się z surazkim politykiem, posiliwszy się i dawszy koniom popas, ruszyłem dalej. N. b. gościnny Żyd za nic z tego, czem mnie poczęstował, nie chciał przyjąć odemnie ani grosza.

Zdaje się, że z Wojciech do Choroszczy jest nie czterdzieści, a sześćdziesiąt kilka wiorst. Dróżki krzyżują się i kręcą ustawicznie; dopytując się, któredy jechać, rozmawiałem z ludźmi i byłem zdziwiony wyłącznie polską ich mową. Cerkiewki coprawda sterczą na wszystkie strony, kościołów zaś nie widać, niemniej prawosławnych jest bardzo niewielki procent. Wiadomo zresztą, iż obwód białostocki, przy trzecim rozbiórce Prusom oddany, miał być w 1807 roku włączony do Księstwa Warszawskiego, i dopiero w ostatniej chwili został przez Napoleona „podarowany” Aleksandrowi I.

Do Choroszczy dostałem się dopiero około godziny 5-ej po południu. Przejechawszy miasteczko, ujrzałem szereg wielkich, piętrowych, murowanych zabudowań. Sądziłem, że to koszary, a ponieważ w kilku największych budynkach słychać było warczenie maszyn, pomyślałem że wyrabiają amunicję. Dopytałem się, nie bez trudności, o znajomego pułkownika Skorupskiego, który mnie przyjął z otwartymi rękami i poczęstował herbata. Rozglądając się, spostrzegłem na ścianach szereg fotografii z niemieckimi dedykacjami, a na honorowem miejscu wielkie czarne aksamitne serce, z wyhaftowanym na żółto niemieckim napisem. Pułkownik, ubawiony mojem zdziwieniem, objaśnił mnie, że Choroszcz jest wielką fabryką sukna p. Moësa, miasteczko jest przy niej małym dodatkiem. Właściciel został, jako Niemiec, wysiedlony do Rosji, fabryka zarekwirowana robiła przez pewien czas

sukno dla intendentury, obecnie wyrabiała materiały z wełny, którą Żydzi zwozili niewielkimi partjami do przerobu. Między robotnikami dużo było Polaków; administracja, majstrowie i dozorecy, wszyscy Niemcy, byli wywiezieni na wschód, a ich mieszkania zajął sztab.

Przystąpiliśmy do interesu. Niestety pułkownik Arciszewski, od którego zależało załatwienie moich spraw indemnizacyjnych, właśnie wyjechał, a bez niego nie mogłem nic zrobić.

Oficerowie sztabu XII armji dopytywali mnie o szczegóły naszego wyjazdu z Suska, palenia i wysiedlania okolicznych wsi. Byli bardzo wzburzeni, zapewniali, że rozkazu niszczenia budynków i wypędzania ludności armja nie ma, przeciwnie, ma nakaz zabierać lub niszczyć tylko to, czem się nieprzyjaciel może pożywić, a mieszkańców nie ruszać. W pewnej chwili sekretarz, kapitan Bezkrówny, porwał się z miejsca, zaczął szybko chodzić po pokoju, mówiąc: „I to się dzieje w chwili, gdy w Dumi ministrowie i posłowie w imieniu całej Rosji oświadczają swoje współczucie i braterską sympatję Polakom! Co wy musicie o nas myśleć, jak nas nienawidzieć”!

Pułkownik Skorupski nalegał, abym nocował u niego, lecz w jego pokoiku już spał z nim drugi pułkownik, Trydenkij, przytem dla koni nie było żadnego pomieszczenia i musiałyby nocować na ulicy. Furman mój przyszedł z wiadomością, że u proboszcza jest miejsce w stajni, na plebanji zaś mieszka, między innymi oficerami, jakiś „warszawski hrabia”. Udałem się więc do księdza; był w kościele, ale przyjął mnie serdecznie porucznik hr. Wojciech Miączyński, którego dawniej poznałem u jego siostry, a naszej sąsiadki, p. Zygmuntowej Doberskiej. Zjawił się i proboszcz, ksiądz Ostrowski, do-

stałem na górze pokój, łóżko, słowem nocleg znakomity, a tymczasem porządną kolację.

Nie miałem czasu czekać niewiadomo jak długo na pułk. Arciszewskiego, pokazało się zaś, że wbrew informacjom otrzymanym w Ostrowiu, taryfę na zasiewy miał on tę samą, co władze cywilne, wyjechałem więc na-
zajutrz rano. Chowam wielką wdzięczność dla ks. Ostrowskiego za jego gościnność i serce. Gdym kucharce wsunął napiwek za fatygę, jaką miała zemną, furmanem i końmi. wzięła go, a po chwili odniosła i chciała gwałtem oddać, mówiąc, że od człowieka, który tyle przecierpiał i z bogacza stał się nędzarzem, pieniędzy przyjąć nie może. Poznałem tu wpływ rozmowy z moim stangretem Tomaszem, wielce wymownym człowiekiem, którego specjalnością było robić nam po drodze reklamę nadzwyczajnymi opowiadaniem, na czem i sam doskonale wychodził. Trzeba było całej mojej wymowy, aby skłonić gospodynię do zatrzymania papierka.

Miałem jechać do Wysokiego Mazowieckiego, aby się starać u bawiącego tam gubernatora przynajmniej o $\frac{1}{4}$ indemnizacji za zasiewy. Droga do szosy kręta jest i błędna, nastreczył mi więc ks. Ostrowski młodego organistę, zbiega z jakiejś dalszej parafji, ale tu urodzonego i znającego wszystkie dróżki. Zabrałem go na bryczkę i na przestrzeni 10-u do 12-u wiorst prowadził nas przez rozmaite wertepy, pastwiska, krzaki, do szosy. Ledwośmy wjechali na szosę, u mostu na Narwi zatrzymała nas warta, żądając „propusku”. Ponieważ go nie miałem, chciał mnie gwałtem żołnierz ciągnąć do komendanta, mieszkającego w jakiejś wiosce o kilka wiorst. Żadne argumenty nie pomagały, aż podałem organście rubla, ten wysunął go dyskretnie, żołnierz go zrzęcznie chwycił

i puścił nas. Potrzebna była ta komedja ze względu na drugiego żołnierza, stojącego o kilkadziesiąt kroków. Gdym, żegnając organistę, chciał go za fatygę wynagrodzić, kategorycznie odmówił przyjęcia czegokolwiek.

W tej stronie ludność prawosławna jest liczniejsza; wyglądem i ubiorem nie różni się zresztą od polskiej. Mówił mi organista, że została tu ona z Rosji importowana i na wioskach osadzona. Między sobą mówi po rosyjsku, lecz język polski zna. Węzłami rodzinnymi z naszą ludnością mało bardzo się łączy.

Wzdłuż szosy, po obu stronach Narwi, ciągnęły się znowu ogromne łąki, porośłe wysoką trawą, jednak rzadką i lichego gatunku, z powodu nadmiaru wilgoci. Gdyby takie przestrzenie łąk uregulować, jakążby wartość przedstawiały! Myślałem o tem, coby Niemcy z takim przyrodzonym bogactwem uczynić potrafili.

Spodziewałem się posilić w osadzie Sokoły, znanej z dawien dawna i daleko z wielkich jarmarków na bydło, lecz zawiodła mnie ta nadzieja. Ksiądz przy niedzieli był w kościele, aptekarz również, nareszcie uprosiłem piekarza, że mi do świeżych bułek dał herbaty w swoim mieszkaniu.

W Wysokiem gubernator zrazu nie chciał mi nic zrobić, wymawiając się tem, iż jest na wyjeździe. Przedstawiłem mu rozpaczliwe moje położenie, gdy straciwszy całe mienie, jadę z rodziną i 200-tu zgórą ludźmi służby na tułaczkę; polecił mi odszukać i poprosić do siebie komisarza do spraw włościańskich powiatu Łomżyńskiego. Bassowa. Ten, bardzo uprzejmy człowiek, wypisał mi niebieski kwit rekwizycyjny na całą krescencję, podaną, w morgach, na zapasy zaś ziarna i paszy kwit biały.

Każda wojskowa kasa polowa miała mi z kwitu niebieskiego wypłacić 25%; za biały kwit miałem otrzymać pieniądze po wojnie, ewentualnie gdy będzie wydane odpowiednie rozporządzenie. Na narzędzia i inne ruchomości odmówił zupełnie kwitu. Mórg żyta ściętego policzony był po 75 rb., pszenicy na pniu 87 rb. 50 kop., ściętej 92 rb. 50 kop. owsa 67 rb. 50 kop., i 72 rb. 50 kop., jęczmienia 60 rb. i 65 rb., łąki 40 rb. i 45 rb., okopowych 45 rb. Co do okopowych, w innych guberniach płacono za nie po 90 rb., w naszej wzięto mylnie cenę morga za cenę dziesięciny i policzono wszystkim połowę należności. Wogóle majątki w słabej ziemi i kulturze na taryfie zasiewów wyszły dobrze, ja bardzo źle, tembardziej, iż cała moja produkcja ziarna, ozimego i jarego, była nasienną, prowadzoną pod dozorem Sekcji Nasiennej C. T. R. Z powodu liczenia o 5 rb. drożej każdego morga zboża zebranego, koszt sprzętu wrócił mi się.

Na obiedzie byłem u p. Łączyńskiego, gościnnego właściciela dóbr Wysokie Mazowieckie. Był przygnębiony wielkimi szkodami, jakie mu na całym majątku czyniły tysiące bydła wojskowego, rekwizycja bowiem odbywała się u niego. Gorzelnię przy mnie demontowano i ładowano na wozy. Żyto i owies intendentura nabywała, lecz w panującej już trwodze trudno było ludzi zebrać do młocki i odstawy.

Od strony Łomży huczały armaty, w dzień widać było dymy, w nocy zaś wielkie łuny. Dotąd, od początku wojny, nie stał jeszcze w Wojciechach ani jeden oddział wojska, i tylko z poboru rekruta i z gazet wiedziało się o wojnie. Obecnie i tu lada dzień rozlać się miała wojenna nawała. Postanowiliśmy jechać przez Brańsk do Bielska, a stamtąd kolejną do Borysowa, syn zaś mój Jan

miał dalej jechać końmi, ze służbą i inwentarzem, na wschód, póki będzie potrzeba.

Dnia 10-go sierpnia przyjechał do mnie z Klukowa p. Węgrzecki i umówiliśmy się, że służba wyjedzie równocześnie z nami, rano dnia 12-go. Tymczasem tegoż wieczoru dowiedzieliśmy się, iż włościanie klukowscy otrzymali od wojska rozkaz opuszczenia wsi, posłałem więc umyślnego, aby ludzie nasi wyruszyli nazajutrz.

Wyjechaliśmy, oprócz mego starszego syna, we środę 11-go sierpnia, zaraz po obiedzie. Władysław Kurcysz i praktykant jego pozostali na miejscu, zdecydowani wyjechać dopiero w ostatniej chwili. Bydło nasze iść miało nazajutrz raniutko. Nie mając już Kozaków, chciałem stadniny się wyrzec, widząc niemożność prawie popędzenia jej dalej, syn mój jednak nie chciał o tem słyszeć i zaręczył, że da sobie z nią radę.

W Bielsku nadaremnie próbowaliśmy dostać się do wagonu: chciały jechać tysiące osób, a pociąg przechodził jeden na dobę. Trzeba było próbować jeszcze szczęścia na stacji Hajnówka, na skraju puszczy Białowieskiej. Posiliwszy się, udaliśmy się, przez cały szereg ulic i przejść między ogródkami, do domku, gdzie rodzina jakiegoś pocziwego cieśli, zreszą sama na wyjezdne, oddała nam jeden pokój. Było w nim jedno łóżko, które mnie przeznaczono, i wążka ceratowa kanapka, na której usadowił się Stefek; dla trzech pań rozrzucono na ziemi wiązkę słomy, na której się położyły, okrywając się pledami, a pod głowę kładąc zwinięte płaszcze. Spałiśmy wszyscy oczywiście w ubraniu. Oryginalność noclegu dała nam dobry humor, a zmęczenie sen.

25 wiorst szosą z Bielska do Hajnówki przejechaliśmy szybko. Znaleźliśmy tam dworzec porządnym, bufet

obszerny, pasażerów niewielu, między innymi naczelnika powiatu i weterynarza z Wysokiego, od których dowiedziałem się, że władze administracyjne całej łomżyńskiej guberni mają osiaść w Wilnie. Co do pociągu, wyszedł ostatni do Wołkowyska, zamiast wilję wieczorem, dopiero tego dnia przed południem. Następny miał również odejść o 6-tej wieczorem, ale nie można go się było spodziewać prędzej, niż w nocy. Brześć-Litewski, skąd miał pociąg iść przez Hajnówkę, Wołkowysk, Baranowicze, do Mińska i Borysowa, był właśnie wtedy na gwałt ewakuowany inną linią, wprost na Baranowicze.

Trudności były z bagażem. Mielśmy 16 kufrów, pak i tobołów, a tu kolej przyjmowała na rodzinę tylko 10 pudów. Udałem się do kasjera towarowego, Polaka, i, obiecawszy mu 15 rb., porozumiałem się z nim, że bagaż nasz podzielimy według biletów na 5 partji i wyprawimy jako należący do tyluż rodzin. Z tem jednak czekać trzeba było późnej nocy i przerzedzenia się widzów. Przyszła zresztą wiadomość, że pociąg nadejdzie dopiero rano, więc umówiliśmy się z kasjerem, p. Zieliński i ja, na godzinę 1-szą.

Panie Kurcyszowe i Zielińska z dziećmi rozłożyły się w maleńkim pokoiku „dla dam,” p. Piątkówna usadowiła się spać na drewnianej ławie, p. Stawiarska i moja córka w powozie, a Stefek na wozie z rzeczami. My obaj spacerowaliśmy, popijając herbatę.

O godzinie 1^{1/2} zjawił się kasjer. Aby w razie zaginięcia bagażu otrzymać najwyższe wynagrodzenie, kupiliśmy bilety 1-ej klasy. Ważenie, dodatkowe wiązanie, pisanie na każdej sztuce numeru olejną farbą, czego własnoręcznie dokonałem, nie dowierzając posługaczom, następnie sprowadzenie wagonu i władowanie doń rzeczy,

nad czem musieliśmy też czuwać sami, trwało do godziny 5-tej rano.

Tymczasem nadeszła wieść, iż pociąg nadejść może dopiero koło południa!

Wyszedłszy przed stację, ujrzałem, iż dzieci moje i p. Stawiarska uznały za wygodniejsze położyć się na ziemi, pod wozami, i tam śpią snem sprawiedliwego. Oplakany był widok poczekalni kolejowej. Na ławkach i stołkach postacie ludzkie w dziwacznych pozach, zmózione snem, jedne z głowami w tył opadniętymi i otwartymi usty, drugie skulone tak, że nosami prawie kolan swych dotykały, inne na stołach rozparte, wreszcie kilkanaścioro, przeważnie dzieci, śpiących na ziemi; w korytarzu jakiś generał chrapał na podłodze, na rozłożonym płaszczu o ponsowej podszewce.

Nadjeżdżało coraz więcej oficerów i żołnierzy. Od 9-ciu dni, na przestrzeni dwustu wiorst, znajdowaliśmy się wśród cofających się wojsk. Zaraz po wyjeździe z domu, w Wysokiem, a następnie w drodze przez Brańsk, Bielsk, do Hajnówki, przedostawaliśmy się wciąż przez masę artylerji i obozów; obserwowałem ciągle tę armję, jednak nigdzie nie zauważyłem popłochu, jaki rok przedtem unosił rozbitą armję Samsonowa. Bywało zapchanie dróg, zgłębienie, przeklinanie, nieuniknione przy miljonowym odwróceniu, lecz chaosu, ani paniki nie było. Słyszałem, że gdzieś oficer zgubił swój oddział, lub rota swój pułk, ale chyba niema armji na świecie, któraby, uchodząc dniem i nocą, przez setki wiorst, na froncie szerokości niemal tysiąca wiorst, podobnych wypadków uniknąć potrafiła. Ciągle trwałem we wrażeniu, iż to rzeczywiście armja z własnej woli cofająca się, a nie uciekająca, iż żywą siłę swą nienaruszoną utrzymywała. Nie mogła ona

nie być przygnębiona, gdy wobec przeciwnika, wyrzucającego codziennie tysiące naboju, dawano, jak mi to mówił znajomy oficer parku artyleryjskiego, Polak, po pięć ładunków dziennie na baterję z 6-ciu armat złożoną! Pomimo to, i mimo wszystkie złodziejstwa i demoralizację kōmendy, rozumiałem, że jeśli naboje się znajdują, a rozkażą tej armji iść naprzód, pójdzie jak lawina z gór się tocząca. Nie zachwiała tego mego przekonania dalsza podróż wśród armji rosyjskiej aż do Berezyny.

Gdy się zbliżało południe, rozeszła się pogłoska, iż pociąg o 12-tej nie przyjdzie, ale żadnej godziny nam już nie wskazano. Nagle zrobił się wielki ruch, zaczął do poczekalni walić tłum: to olbrzymi pociąg przyszedł z Bielska i tysiąc kilkaset osób przyjechało czekać wraz z nami na pociąg z Brześcia! Sala tak się zapełniła, że nie było mowy o tem, aby mōdż usiąść, nawet precisnąć się przez tłum trudno było.

Umówiliśmy się poprzednio tak, że ludzie z końmi i pojazdami odeślemy do Białowieży, gdzie je po drodze miał zabrać Janek, ale przez ostrożność zatrzymaliśmy ich aż do naszego odjazdu koleją. Teraz, wobec napływu pasażerów, gdy nadto wiadomem było, iż pociąg z Brześcia albo nie nadejdzie wcale, albo przyjdzie pełny, wydało mi się najracjonalniejszem wyrzec się biletów i jechać dalej końmi, narazie do Prużan. Bagaż wyekspedjowany postanowiłem zostawić w pociągu, albowiem do Borysowa było jeszcze z górą 400 wiorst, a przytem trudno było ludzi wiozących nasze rzeczy odłączać od ich rodzin: prawdopodobnie nie zgodziliby się na to.

P. Zieliński akceptował odrazu myśl moją, panie, przerażone i oszołomione tłuszcza, która napełniła stację, nie dyskutowały, i w kilkanaście minut drobniejsze ma-

natki nasze, niewysłane koleją, były z powrotem przeniesione dó powozu, bryczki i dwóch wozów.

Zaraz za linją kolei widać było ścianę boru: to sławna Puszcza Białowieska. Dzień był słoneczny, ciepły; środkiem Puszczy wiedzie szosa, równa jak stół. Pełną piersią oddychaliśmy pysznem, leśnem powietrzem. Wśród drzew przeważa świerk, grab czy wiaz, dąb; są jednak i sosny, brzozy, olchy. Jedzie się jakby jednym wspaniałym parkiem. Miejscami duże przestrzenie ogrodzone są wysokim płotem, zapewne dla utrzymania grubej zwierzyny; są poręby wycięte, są też obszary, na których sosnowy drzewostan jest zwiedły, pożółkły: przypuszczam, że są to spustoszenia t. zw. „mniszki”. Ogółem Puszcza, ciągnąca się 35 wiorst wszcz, jest imponująca. W polowie mniej więcej, niedaleko szosy, stoi drewniany, w stylu szwajcarskim, pałacyk myśliwski. Na środku szosy stał na platformie, gotowy do wywiezienia, z brązu ulany żubr, więcej niż naturalnej wielkości *).

Zatrzymaliśmy się w osadzie Białowieża; w schludnej chacie nasze kucharki przyrządziły jajecznicę, inne zapasy mieliśmy jeszcze ze sobą. Puszcza zdawała nam się dla Niemców niepodobną do przebycia, wojsk rosyjskich zupełnie widać nie było, po raz pierwszy od wyjazdu z domu mieliśmy poczucie bezwzględного spokoju i bezpieczeństwa. Mówiliśmy, że wartoby tu, w tej ciszy, wśród tego ślicznego krajobrazu, pozostać. Opodal na górze było widać wspaniały zamek cesarski; żalowaliśmy, że nie mamy czasu go zwiedzić, wieczór bowiem się zbliżał, trzeba było pośpieszać.

*) Obecnie znajdujący się w Warszawie, wśród gromady różnych zabytków.

Od Wojciech towarzyszył nam, na ogierze „Mołodec”, rotmistrza Rosenbluma, żołnierz Strokow, oddany do naszej dyspozycji przez kap. Śliwińskiego. Pokazało się, iż żywił on zamiary matrymonjalne względem naszej pokojówki Janki; był nam zresztą bardzo dogodny w drodze, jako inteligentny i energiczny człowiek, a przytem żołnierz, co nam ułatwiało wyjście z rozmaitych trudności. Po drodze mijaliśmy mnóstwo wozów, a na nasze zapytania, skąd są, ludzie wymieniali wsie i majątki naszej guberni. Wiadocznie całe łomżyńskie, jadąc z domów różnemi drogami, tu się ostatecznie zebrało. Po drodze wygnańcy chwyтали z pola snopki owsa, wiązki koniczyzny, kopy siana. Z ludności miejscowej nie widać nikogo, kto by dobytku bronił.

Przejechawszy tego dnia 63 wiorsty, stanęliśmy w Prużanach o 9-tej wieczorem, 13-go sierpnia. Zajechaliśmy przed hotel „Pietrogradzki”. Byli tam już nasi sąsiedzi, p. p. Fr. Ciemnowscy z Tarnowa, z synem, oczekując na numer. Dzięki sutemu napiwkowi, zdobyliśmy, p. Zieliński i ja, pokoił, a po drugim napiwku wniesiono doń drugie łóżko. Ja ze Stefką musiałem spać na jednym łóżku. Reszta naszego towarzystwa umieściła się naprzeciwno, w hotelu „Moskiewskim”. Wolnego tam jednak numeru nie było, a właściciele Żydzi, zarazem wielcy bankierzy prućzańscy, odstąpili nam swój jadalny pokój, w którym stała duża otomana, i przyległy pokoik.

Prużany są bardzo brudnem, żydowskiem, ale ożywionem i wesołym miasteczkiem. Narzekamy zwykle na zażydzenie miast w Królestwie Polskiem, u nas jednak wszędzie są hotele, cukiernie, sklepy polskie. W miastach t. zw. „kraju zabranego” Żydzi mają w swem

ręku absolutnie wszystko. Szewca do podzelowania butów niepodobna znaleźć chrześcijanina. Co najwyżej aptekę posiada Polak, a także restaurację, ze względu na „tryf”, nie pozwalający Żydom dotykać wieprzowiny, ani słoniny.

Większość ziemian łomżyńskich z rodzinami rozmieściła się w okolicy, po dworach, u p. p. Czarnockich, Dziekońskich, Moraczewskich i t. d. Na ulicy co chwila spotykało się znajomych. Punktem zbornym wszystkich był gościnny dom miejscowego dziekana, ks. kanonika Białłozora, wielkiej zacności kapłana. Nie podzielał on naszego przekonania, iż Prużany, dzięki Puszczy Białowieskiej, są od Niemców bezpieczne, i pośpiesznie sporządził szczegółowy inwentarz i szacunek kościoła i sprzętów kościelnych.

Na trzeci dzień nadjechał mój starszy syn. Bydło i stadninę przeprowadził szczęśliwie przez Puszczę i umieścił tymczasowo na jakimś folwarku pod Prużanami. U wjazdu do Puszczy, pragnąc uzyskać pozwolenie popasania inwentarza w lasach, zapytał o mieszkanie nadleśnego. Wskazano mu domek, w którym zastał kilka osób, między innemi p. Barka, łowczego dworu, stryjecznego brata ministra skarbu, zarządzającego całem myśliwstwem Puszczy. Pan Bark oświadczył uprzejmie, że cały nasz inwentarz będzie mógł dowolnie używać białowieskiej trawy. Ponieważ miał wracać do siebie, do wspomnianego wyżej dworku myśliwskiego, mój syn zaproponował mu podwieźć go swoją bryczką. Wjechawszy do lasu, spostrzegli obozowisko naszej służby, zapytał go więc Janek, czy nie byłby ciekaw zobaczyć taboru wygnańców, na co się p. Bark chętnie zgodził. Gdy się zbliżali do wozów, ujrzeni podpułkownika rosyjskiego,

zataczającego się po pijanemu: chwycił wpół jedną z przechodzących kobiet, ta mu się wymknęła, wówczas złapał z woza poduszkę i cisnął ją w ognisko; gdy tę wyrwały kobiety z płomieni, uczynił to samo z drugą. Otoczyli go ludzie, wołając: „Co też pan wyrabia, czego nam pan pościel pali”, on jednak nie zwracał na to uwagi, wówczas wystąpił jeden z fernali, Aleksander Sadowski, krzyknął: „Co wy na takiego psubrata „panie” mówicie! A ty łajdaku, pijaku!” i w tej samej chwili uderzył go z całej siły w twarz, raz i drugi. Pułkownik runął jak długi na ziemię, Sadowski zaś, wyciągnawszy z woza drąg, już się zamierzał pijaka nim poczęstować, gdy przyskoczył rzadca, p. Węgrzeckł, i za poły go w tył odciągnął. Powstał pułkownik i, podając dłoń p. Węgrzeckiemu, bełkotał: „Spasibo, czto wy mienia spasli”. Pan W. popatrzył na wyciągniętą rękę, plunął i odszedł. Pułkownik, nie więcej nie mówiąc, powędrował w las.

Spojrzał mój syn na p. Barka, ten kiwał głową, powtarzając: „Wot russkije oficery!”

Zaiste dziwny traf, iż taka typowa, a niezwykła scena, odegrała się właśnie w tej chwili, w obecności tego dygnitarza.

P. Bark okazał w dalszym ciągu mojemu synowi wielką gościnność, zaprosił go na noc do pałacyku, zapoznał z żoną i dziećmi. Nazajutrz zaprezentował mu stado żubrów, a nawet zaprosił na zastrzelenie, po wojnie, jednego byka. O przedstawieniu z podpułkownikiem zapowiedział, iż opowie w Piotrogradzie.

Z Prużan można było próbować dostać się do pociągu na stacji Liniewo, o kilkanaście wiorst, gdzie jeszcze przez kilka dni pasażerów przyjmować miano. Mnie

wypadło zatrzymać się nieco dłużej w Prużanach, dla załatwienia różnych wynikłych spraw, ogólnych i osobistych. Ponieważ jednak p. p. Kurcyuszowe i p. p. Zielińscy wybierali się jechać zaraz koleją, pojechali z nimi p. Piętkówna, p. Stawiarska i młodszy mój syn, zabierając kucharkę i pokojówkę. Córka moja i ja mieliśmy podążyć za nimi później, końmi, przez Słonim i Mińsk, do Borysowa nad Berezyną.

Napływały do Prużan coraz liczniejsze karawany włościan, drobnej szlachty i służby folwarcznej. Żydów z Królestwa nie było wcale; tłumaczy się to tem, że nie mieli oni własnych koni i wozów, więc ci, co wyjechali, uczynili to kolejami; przytem Żydzi skupieni byli w miastach, w których ludność mogła w znacznej części pozostać.

Thumy wygnańców potrzebowały gwałtownie opieki. Istniał w Prużanach oddział Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, prezesem jego był p. Dziekoński z Czachca, wiceprezesem ks. dziekan Białkozor, lecz oddział ten właściwie nie czynił dla zaradzenia palącym i narastającym potrzebom. Pomoc niósł jedynie oddział Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw, zawiadywany przez Polaka z Królestwa, p. Kozłowskiego. Związek miał już za miastem t. zw. punkt żywnościowy i sanitarny, gdzie rozdawano bezpłatnie herbatę, chleb, zupę, i udzielano pomocy lekarskiej. Podobne punkty urządzał Związek przy traktach do Słonimia i do Słucka. Niebawem wytworzyło się pod miastem, przy punkcie, ogromne obozowisko, tak że wydawane porcje dla słabej tylko części wygnańców starczyć mogły.

Odczuwaliśmy konieczność zawiązania wśród nas jakiejś organizacji, lecz w tutejszych warunkach, przy

wrogiem usposobieniu władz do Polaków, uzyskanie pozwolenia było niemożliwem: myśleliśmy o tem, by do pracy przystąpić pod firmą Polskiego Tow. P. O. W., lecz zarząd jego był nieuchwytny, p. Dziekoński bowiem wyjechał na wieś i ani słyszeć o niczem nie chciał. Rozumieliśmy zresztą, iż bez środków materialnych akcja nasza byłaby czysto platoniczną.

Doszła nas tu wieść o zamordowaniu przez Kozaków, w majątku Pniewo pod Łomżą, p. Józefa Jabłońskiego, prezesa Łomżyńskiego Towarzystwa Rolniczego; to samo mówiono o p. Sasinowskim, obywatelu z powiatu Szczuczynskiego. Opierali się oni podobno odchodzącym i rabującym wojskom rosyjskim i życiem to przypłacili. Dwaj inni obywatele, p. p. Czersey, udusili się dymem w piwnicy własnego, spalonego domu.

W chwili, gdyśmy nadaremnie szukali drogi do skutecznego objęcia kierunku nad tą bezładną wędrówką dziesiątków tysięcy naszego ludu, zjawił się niespodziewanie p. Władysław Grabski. Błyskawicznie rozeszła się o tem wieść po mieście.

Niebawem zebrało się nas u dziekana kilkunastu, Pan Grabski, w imieniu C. K. Obywatelskiego, zaproponował nam założenie Komitetu Obyw. w Prużanach, a pełnomocnictwo, jakie miał z Piotrogradu, pozwalało to uczynić bez starania się o zatwierdzenie przez miejscową administrację, którą wystarczało o zawiązaniu Komitetu zawiadomić. Powołano do Komitetu p. p. ks. Białłozora, barona Józefa Dangla z Siedlisk w Wysokomazowieckiem, Lucjana Gieżyńskiego ze Sławek i Stefana Strzeleckiego z Władkowa w Ciechanowskiem, Józefa Godlewskiego z Kosk w Czyżewskiem, Stanisława Włodka z Bybutek i Wiktora Jakubskiego z Klukowa w Wysoko-

mazowieckiem, oraz mego syna Jana. Ja odmówilem, albowiem stan zdrowia mego nie pozwalał mi dzielić, wraz z Komitetem, losów tłumu wygnańców. Prezesem jednomyślnie wybrano p. Dangla. Komitet miał prawo kooptacji; między innymi miał przybrać kilku członków z pomiędzy obywateli z okolicy i z mlasta, którzy, po przesunięciu się Komitetu Obywatelskiego dalej, wraz z falą tułaczy, mieli, pozostając w Prużanach, tworzyć stały Komitet miejscowy. Tak samo miał postępować Komitet w innych większych miastach po drodze, t. j. wszędzie z miejscowych mężów zaufania organizować stałe Komitety Obywatelskie miejscowe.

Pan Grabski mógł niestety zabawić w Prużanach tylko kilka godzin, podczas których omówiliśmy w ogólnych zarysach program działalności Komitetu. Chodziło nie tylko o to, aby rzeszą wygnańców racjonalnie pokierować i ratować ją w drodze od głodu i chorób, ale aby uchronić ich od rozproszenia po obszarach Rosji i od wynarodowienia. Przeczuwaliśmy szeroki rozrost zapoczątkowanej organizacji, zdawaliśmy sobie sprawę z wielkiej narodowej doniosłości podjętego zadania, lecz jasno nie widzieliśmy jeszcze, jak mu sprostać Komitet potrafi. Niemniej podniosły zapal ogarniał wszystkich. Narazie p. Grabski zostawił Komitetowi 5000 r., a zarazem wskazał, iż dalsze środki otrzymywać będzie od Członka Rady Państwa Zubeczaninowa, „Głównego Pełnomocnika do Spraw Zbiegów na Froncie Północno-Zachodnim”, bawiącego w Słonimiu; równocześnie zawiadomił telegraficznie Pełnomocnika o zawiązaniu Komitetu i o upoważnieniu do podnoszenia potrzebnych funduszy bar. Dangla i mego syna. Z pomiędzy wybranych członków byli dotąd obecni jedynie p. p. Ks. Białłozor, Strzelecki,

Gieżyński i Jan Glinka. Ci kooptowali mnie, zapraszając jednocześnie, aż do przyjazdu p. Dangla, na przewodniczącego, skarbnikiem został ks. Białożor, sekretarzem mój syn. Z pomiędzy działaczy miejscowych postanowiliśmy wezwać do komitetu p. Krzywopiszę, właściciela apteki, ten jednak z powodu braku czasu odmówił udziału swego. Z obywateli okolicznych zaprosiliśmy p. p. Michała Czarnockiego z Białosowszczyzny i brata jego, p. Józefa Czarnockiego z Zasimowicz. Pan Michał Czarnocki przybył na jedno posiedzenie, okazał najlepsze chęci, udzielił nam wielu cennych informacji, niestety nawał interesów nie pozwolił mu przyjechać więcej na żadne zebranie.

Z powodu obecności, na początku, wygańców niemal tylko z gub. łomżyńskiej, zrazu nazwaliśmy nasz Komitet Łomżyńskim, następnie Łomżyńsko-Siedleckim, lecz wkrótce i ta nazwa okazała się za ciasną, nadciągali bowiem ludzie z całego kraju.

Pieczęcie postanowiliśmy sprawić dwie, polską i rosyjską. Ożywioną dyskusję wywołała kwestja, czy mamy na pieczęciach użyć wyrażenia utartego już „zbiegów“ („bieżenców“), czy też, „wygnańców“. My starsi byliśmy za trzymaniem się wyrażenia urzędowego, jednak syn mój przeparał w obu językach następującą redakcję: „Komitet Obywatelski Opieki nad Wygnańcami z Królestwa Polskiego“. (po rosyjsku wysielencami).

Pieczętarza w Prużanach nie było, tymczasem chcieliśmy używać pieczęci Polskiego Tow. Pom. Ofiarom Wojny, lecz wiceprezes bał się brać to na swą odpowiedzialność, a prezes, wiadomo było iż się na to nigdy nie zgodzi, Wogóle miejscowe społeczeństwo wydawało nam się dziwnie bojaźliwem, Nie odnosi się to wrażenie do

ks. Białozora, który ustawicznie, i w tej chwili również, był pod sądem kryminalnym za odważny swój stosunek do miejscowej ludności prawosławnej, dążącej do katolicyzmu.

W Prużanach Komitet funkcjonował tylko cztery dni. Mielśmy odbywać posiedzenia od 11-tej rano do 1-ej, t. j. do obiadu, ale rzeczywiście codziennie od 10-tej rano do nocy zasiadaliśmy nieustannie, z krótką przerwą na posiłek, taki był nawal zajęcia. Nazajutrz po zawiązaniu Komitetu zjawił się delegat Zubezaninowa, p. Tracz, Rosjanin chełmski, były komisarz włościański. Ogromnie szeroko mówił o wspólnej z nami pracy, obiecywał złote góry.

Zjeżdżało się wciąż mnóstwo osób z Królestwa: sędziwy hr. Zdzisław Zamoyski z Łochowa z córką*) p. Władysław Sobański z Przeździatki, państwo Wężykowie z dziećmi, hr. Zygmuntostwo Jezierscy, wszyscy z Siedleckiego; z Łomżyńskiego p. p. Jan Brudziński z Trynos, Andlauer z Grodziska, Feliks Ciemniowski z Lubiejowa, Henryk Apozański z Rusi, Sempląscy z Uśnika, Rzeczkowski z Osównego, Kuczyński z Pęchratki i inni, których mi trudno przydomnieć sobie. Nasza gubernia najliczniej reprezentowana była. Wszyscy przyjeżdżali końmi, oprócz Sobańskiego, który przybył samochodem.

Służba nasza obozowała za miastem, obok punktu żywnościowego, jednak z niego nie korzystała, tak było trudno sobie tam kawałek chleba wywalczyć. Mieli zresztą jeszcze ludzie nasi zapasy z domu wywiezione. Chciałem im wypłacić pensję do 1-go października, lecz

*) Obecną senatorową Erykową Kurnatowską

rejestra gospodarcze zostały w bagażu, wysłanym z Hajnówki, oświadczyłem więc służbie, że zdaję się na ich sumienie: kto wybrał coś z góry na bieżący kwartał, niech to sam przy wypłacie oświadczy. Czy wszyscy postąpili przy wypłacie według sumienia, dowiem się, jeżeli oddaję kiedyś swój bagaż.

W Komitecie, z udziałem kilkunastu ziemian wygnańców, odbyła się narada nad tem, jak wogóle mamy postąpić ze swoją służbą. Wszyscy zgadzaliśmy się na to, że należy możliwie zapobiegać wysiedleniu ludzi za Ural, gdzie otrzymaliby grunta i wynarodowiliby się. Natomiast, ponieważ jechali oni naszymi wozami i końmi, które przedstawiały duży kapitał, i których utrzymanie bardzo drogo kosztowało, uważaliśmy, że pożądane jest władowanie ludzi do pociągów i wysłanie do miejsc, gdzieby mogli znaleźć dach nad głową i zarobek. Konie i wozy wypadnie wtedy albo sprzedać, albo, zgodnie z propozycją, uczynioną przezemnie XII armji w Choroszezy i tamże przyjętą, oddać do t. zw. transportów. Polecono mi zaraz zatelegrafować do wspomnianego sztabu, z ponowieniem oferty 200 podwód. Co do kierunku dalszej wędrówki, był przez władze wojskowe wskazany Słonim; tam mieli podążać wszyscy zbiegowie, i tam też wyprawiliśmy bydło i stadninę naszą, a raczej do Albertyna, majątku p. Wł. Pusłowskiego pod Słonimiem.

Długą dyskusję wywołała sprawa naszych obowiązków względem służby. Jedni twierdzili, iż obowiązkiem naszym jest utrzymywać ludzi do chwili powrotu do kraju naszym kosztem, tak, jakby dalej w majątkach naszych pracowali; drudzy, że powinniśmy im oddać na własność konie i wozy, a poza tem niech sobie sami ra-

dzą. Inni jeszcze uważali, iż z chwilą opuszczenia majątków siła wyższa uwolniła nas od wszelkich zobowiązań wobec służby, tak, że pensja i ordynarja jedynie do dnia wyjazdu jej się należą. Zdaje się, że o opinii każdego przeważnie decydowało to, czy służba jego została w domu, czy wyjechała, i w jakiej liczbie, oraz na ilu wozach. Ostatecznie przyjęto zaproponowaną przezemnie rezolucję następującą: „Siła wyższa, rugując nas z majątków wraz ze służbą, w zasadzie przerwała wszelkie nasze z nią umowy; jednak, ponieważ za straty mamy otrzymać wynagrodzenie, słusznem jest, abyśmy w pewnej mierze służbie z pomocą przyszli; obowiązkiem naszym jest wypłacić jej pensje do 1-go października; ordynarję od 1-go lipca do 1-go października powinna była ona otrzymać przed miesiącem, a jeśli gdzie jej nie dostała, należy wydać ją obecnie, w naturze lub w gotówce; za przestrzeń obsadzoną kartoflami powinniśmy służbie wypłacić tyle, ileśmy sami otrzymali lub otrzymamy; jeżeli kto kartofli służbowych nie podał w swej krescencji, nie zwalnia go to od wypłaty, albowiem służba nie może odpowiadać za jego karygodną omyłkę; konie i wozy powinniśmy służbie zostawić, póki ich będzie potrzebowała, natomiast żywienie koni i reperacja wozów nie powinny nas obciążać. Jeśli kto chce i może uczynić dla swej służby więcej, postąpi bardzo pięknie, mniej jednak uczynić nikomu nie wolno”.

Dostarczanie wygnańcom bezpłatnie żywności wzięły w swoje ręce Związek Ziemstw, Związek Miast, oraz organizacja Zubezaninowa, czyli t. zw. „Siewieropomoszcz” (Pomoc północna), można więc było przypuszczać, iż pod tym względem ludność nasza będzie w drodze zaopatrzona. Natomiast palącą była sprawa obroku dla koni;

wzięte z domu przez wygnańców zapasy owsa się wyczerpały, po drodze kradli paszę z pól okolicznych, lecz niepodobna było na kradzieży opierać dalszego pochodu tysięcy furmanek, a przytem i ta kradzież stawała się coraz trudniejszą. Kawałek chleba i koszyk kartofli mógł zresztą zawsze chłop kupić, w mieście lub na wsi, owsa zaś dostać w bliskości było wprost niemożliwem. Postanowiliśmy więc zająć się natychmiast bezpłatną dostawą obroku dla koni. Mielśmy zapewniony kredyt u Zubczaninowa, z 5000 rb., zostawionych przez Grabskiego, przeznacziliśmy 2000 rb. na zadatki przy kupnie owsa, powierzając to kupno p. Jakubskiemu. Ponieważ zaś wyszedł drugi rozkaz, kierujący wygnańców, zamiast do Słonimia, ku szosie brzesko-moskiewskiej i Słuckowi, p. Jakubski, nabywszy w okolicy Prużan pewną ilość owsa na potrzebę natychmiastową, wyruszył po dalsze zakupy w stronę Słucka.

Na razie funkcjonował w Prużanach jedynie punkt żywnościowy Związku Ziemstw i był coraz mniej wystarczającym. Jednak byliśmy tu nazbyt krótko i mieliśmy za mało gotówki, aby własną organizację żywnościową wytwarzać, zdecydowaliśmy więc rozdawać wygnańcom chwilowo strawne w pieniądzech, na 5 dni zgóry, licząc 30 kop. dziennie na dorosłego, a 15 kop. na dziecko do lat 10-u. Służba folwarczna strawne również otrzymywać miała. Okazało się jednak wielce niewłaściwą ta forma pomocy. Od rana do nocy w ganku plebanji, gdzie panny Gieżyńskie i moja córka, przy pomocy paru młodych ludzi, wypłacały i zapisywały zapomogi, cisnęły się tysiące ludzi. Tłumy wygnańców były o wiele liczniejsze, niżesmy zrazu przypuszczali, a nadciągały jeszcze wciąż nowe, pieniędzy więc nie starczyło,

na drugi dzień wydawaliśmy strawne już tylko na 3 dni, wreszcie na jeden dzień, skąd słuszne niezadowolenie i głośne narzekania.

Wogóle w początku działalności Komitetu, póki nie ogarnął on rozmiarów popełnionej na ludzie polskim zbrodni, rzeczywistość ciągle przerastała nasze przewidywania. Czuliśmy się jakby na łodzi unoszonej prądem gwałtownie przybierającej rzeki.

Nadjechał baron Dangel, lecz ze zwykłą sobie skromnością nie chciał, pókiśmy byli w Prużanach, obejmować przewodnictwa Komitetu. Wojska napływały coraz liczniejsze, oficerowie zapełniali hotele. Państwa Wężyków z Siedleckiego o 10-ej wieczorem wyrzucić chcieli z numeru, który zajmowali w hotelu Piotrogradzkim. Myśmy się, po odjeździe części naszego towarzystwa, przenieśli we troje do hotelu Moskiewskiego. Jednej nocy o 2-ej obudziło mego syna Jana i mnie głośne pukanie, z żądaniem, abyśmy się natychmiast wynosili; na szczęście jakiś oficer, obok nas mieszkający, zaprosił natręta do siebie. Pan Strzelecki poddał nam myśl przybicia sobie na drzwiach kartek z tytułem członków Komitetu Obywatelskiego: od tego czasu byliśmy spokojni. Mieliśmy teraz wszyscy łóżka, lecz tak podejrzane, iż spaliśmy prawie w całkowitem ubraniu; co wieczór dzieliliśmy kolację naszych gospodarzy, zrazu smakowała mu koszerna kuchnia, lecz po paru dniach uprzykrzył nam się nadmiar cebuli i przyrządzanie siekanych kotletów ze wszystkiego, nawet z drobiu.

Obiady jedliśmy w t. zw. klubie, gdzie o każdą porcję trzeba było prowadzić walki, chodzić po nią samemu aż do kuchni, jedzenie wszakże było zupełnie przyzwoite

i bardzośmy ubolewali, gdy wojsko zarekwirowało lokal klubu. Odtąd musieliśmy i obiady jadać w hotelu.

Doszła nas wiadomość, iż wybrany do Komitetu p. Stanisław Włodek *) uległ wypadkowi w chwili wyjazdu z domu, i prawdopodobnie został przez Niemców zagarnięty. Niemcy zajęli Białystok, Brześć-Litewski, mówiono, że są pod Bielskiem, a nawet w Bielsku, zajęcie przez nich Prużan było już tylko kwestją czasu, i to niedługiego. Wśród zbiegów czyniła postępy cholera, umierało codziennie około 30-tu osób.

Przyszło rozporządzenie, aby wszyscy wygnańcy niezwłocznie opuścili okolice Prużan. Gdy już znaczna część ich była w drodze do Słucka, nadszedł rozkaz zatrzymania ich, z powodu fali z 300.000 do 400.000 ludności polskiej, ruskiej i żydowskiej, płynącej od strony Brześcia, i skierowania ich znowu przez Rożanę ku Słoniowi! Wojsko i policja zawracały z drogi tych, którzy już w stronę Słucka ciągnęli.

Zrobiło się ogromne zamieszanie. Zawiadomiliśmy czempredzej p. Jakubskiego, aby owsa po drodze do Słucka nie kupował. Suska służba na szczęście nie była jeszcze z Prużan wyruszyła.

Niedaleko kościoła stoi w Prużanach, w pięknym ogrodzie, pałac książąt Orbelianich. Słyszeliśmy, iż jest do wynajęcia, i państwo Gieżyńscy oraz córka moja wielką mieli ochotę zająć go i czekać w nim na przyście Niemców. Podobno członkowie rodziny cesarskiej, czy to z okazji manewrów, czy łowów w Puszczy Białowieskiej, nieraz tu gościli, dlatego żaden oficer w pałacu kwatery nie stał, uważając go niejako za cesarską rezydencję. Da-

*) Późniejszy poseł do Sejmu Ustawodawczego.

wało to pewne gwarancje bezpieczeństwa, ale tylko do pewnego stopnia: kto mógł wiedzieć, czy właśnie dlatego i tembardziej nie będzie zniszczony przez cofające się, rozbestwione żoldactwo.

Wojska wciąż jeszcze przybywało; nie można było zupełnie dostać pieczywa, cukru, mięsa, jaj. Syn mój wyjechał do Słonimia pierwszy, razem z p. Jakubskim, następnie p. Dangel. Córka moja i ja wyruszyliśmy 20-go sierpnia, równocześnie z pp. Brudzińskim i Andlauerem. Bryczkę i parę koni sprzedalem w Prużanach Związkowi Ziemstw, zachowując sobie tylko powóz i jeden wóz.

Na szosie mijaliśmy nieprzerwany korowód wozów, bryczek, powozów i karet. Kraj zrazu piaszczysty i ubogi, zamienił się wkrótce w jedną olbrzymią przestrzeń mokrych łąk i pastwisk: jak okiem sięgnąć, trawy i moczary. Jadący wozami ludzie, na nasze zapytanie, z jakiej są guberni, odpowiadali: z Łomżyńskiej, Lubelskiej, Chełmskiej, rzadziej z Warszawskiej albo Radomskiej. Od czasu do czasu poznawaliśmy, po odrębnym wyglądzie, rodzinę z guberni Grodzieńskiej. Na wozach piętrzyły się kuferki, pościel, krzesła, stoliki, maszyny do szycia, kołyski; dokoła wozów, u szczebli drabin, uciepione były kubły, dzbanki. Słowem cała chudoba.

Wielu prowadziło, bydlę, często chore na zarazę pyska i racie, z trudnością się posuwające. Konie wyglądały jeszcze możliwie, ale wozy co chwila się psuły, pękały koła; jedną rodzinę widzieliśmy bezradną, nieruchomą nad kupą rzeczy, pod któremi wóz się literalnie w drobiazgi rozsypał. Kilkanaście wiorst towarzyszyli nam konno pp. W. Kurcysz i St. Kiersnowski (syn).

O kilka wiorst od Rożany ujrzelśmy na łąkach

mnóstwo ludzi, niosących zdaleka naręcza siana; przy szosie stogów nie było, lecz o pół wiorsty i dalej stały ich dziesiątki, zaopatrywali się więc zbiegowie w paszę. Pod samą Rożaną pasły się setki koni, a na wyższym miejscu, pod miasteczkiem, stały wozy i paliły się ogniska. Spotkaliśmy tam naszą służbę: mieli wszyscy miny dobre, nawet wesołe, chwalili się, ile siana na wozy po drodze naładowali... Polecilem im się nie spieszyć, dać koniom wydobrzeć i na trzeci dzień dopiero do Słonimia wyruszyć, przewidywałem bowiem, iż na tyle narodu żywności tam jeszcze przygotować nie zdołano. Wskutek trzykrotnej zmiany marszruty wygnańców przez władzę wojskową, nawet po drodze do Słonimia punkty żywnościowe nie były jeszcze gotowe: obrabiano dopiero drzewo na baraki.

Stanąwszy w Rożanie przed zmierzchem, zajechaliśmy na podwórze proboszcza, gdzie już stało kilka powozów i bryczek. U progu plebanji przywitał nas znajomy ksiądz z Łomżyńskiego, zapraszając w gościnę: „Proboszcz, rzekł, oddaje cały dom swój do dyspozycji wygnańców, niech więc państwo raczą wejść i rozgościć się”.

Podziękowaliśmy, wielce rozezuleni tem przyjęciem. Wewnątrz zastaliśmy p. Józefa Godlewskiego, sędziego Gutkowskiego i p. Apoznańskiego z rodziną. Proboszcz usunął z mieszkania absolutnie wszystkie meble, nie zostawił nietylko łóżka, ale nawet stolika, ani krzesła. Pod ścianami stały walizki przyjezdnych, w rogu jednego pokoju wiązka słomy. Na zapytanie o samowar, odpowiadzano nam, że go nie ma. W podwórku ludzie nasi chcieli wyprządz konie, aby je przy wozach nakarmić, lecz organista zaoponował, kazał je napowrót zaprządz

i na trakt wyjechać. Zmiarkowaliśmy, że o wiele lepiej będzie nam w zajeździe, choćby najmarniejszym, i pośpiesznie opuściliśmy te gościnne progi!

W żydowskim hoteliku pp. Andlauer i Brudziński dostali jeden pokój, a ja z córką drugi. Naturalnie łóżka traktować trzeba było jak ławki brudnego wagonu, niemniej było na czem się wyciągnąć i jako tako przespać. Podano nam klasyczny samowar, świeże „chały“ żydowskie, jajecznicę usmażyła nam kucharka p. Andlauera. Córka hotelarza, wykształcona i emancypowana Żydówka, sprawiła nam wielką radość, pożyczając ostatni numer „Rieczy“, gazet bowiem nie widzieliśmy od tygodnia.

Dowiedzieliśmy się, że wielki budynek, zdala widny na górze, był pałacem ks. Sapiehów. Tu była siedziba Rożańskiej gałęzi tej rodziny. Zamek został ongi skonfiskowany przez rząd rosyjski i sprzedany Żydom przez licytację. Część murów rozebrano na budowanie domów w miasteczku, w tem zaś, co ocalało, urządzili Żydzi fabrykę sukna z odpadków wełnianych. Tę fabrykę pożar zniszczył na tydzień mniej więcej przed bytnością naszą. Żałuje bardzo, żeśmy szczątków zamku nie zwiedzili, mówił mi bowiem w Słonimiu mój syn, że znalazł w ruinach prześliczne resztki renesansowych krążganków, sklepień, kolumn, kapiteli.

Z Prużan do Rożany przejechaliśmy 40 wiorst, stąd do Słonimia 37. Łańcuch wozów nie był już ciągły, niemniej setki fur mijaliśmy. Po dwóch godzinach zjechaliśmy z szosy do lasku, służba przyniosła nam z pobliskiego pola kartofli, które piekliśmy w ognisku, pozostawionem przez jakichś poprzedzających nas podróżnych. Tak więc i my doszliśmy do posilania się kradzioną strawą!

O kilkanaście wiorst od Słonimia lunął rześisty deszcz. Smutny był widok kobiet i dzieci, moknących na wozach; mało którzy mieli nad głową budy z płótna. Gdy deszcz lał coraz silniej, pochowali się ludzie pod wozami. Zastanowiliśmy się, co to będzie, jeśli ich bez dachu zastaną jesienne słoty, a potem śniegi i mrozy.

Do Słonimia wjechaliśmy o godzinie 3-ej po południu dnia 21-go sierpnia. Deszcz padał wciąż. Stanęliśmy na rynku; w najbliższym sklepie, gdzieśmy się pytali o hotel, poinformowano nas, że w żadnym miejsca nie znajdziemy, a w prywatnych mieszkaniach jeszcze mniej, wszystko bowiem zajęło wojsko. W aptece powtórzono nam to samo. Byliśmy zrozpaczeni, gdy w tem ujrzelśmy p. Serejkę, nauczyciela szkoły fabrycznej p. Andlauera w Grodzisku, w mundurze organizacji Związku Miast. P. S. ofiarował nam cały domek, zajęty przez Związek, ale właśnie tego dnia wypróżniony; dom przez jakiś czas nie miał być potrzebny Związkowi, który lokatę zapłacił za miesiąc z góry.

Pod ulewnym deszczem poprowadził nas p. Serejko uliczką, potem przez most, a raczej przez szeroką kładkę na t. zw. kanale Ogińskiego, i wybrzeżem [nad kanałem. Kanał ujęty jest w dwa szeregi dębowych palisad, po lewej stronie jego wznosi się wał z ziemi, za wałem bagnista przestrzeń, na której zbudowany jest szereg drewnianych domków, na słupach drewnianych, lub na murowanych fundamentach, na 1 do 1½ metra wysokich. Nazywa się ta ulica, a raczej wybrzeże, „Damba”. Nasz dom nosił Nr. 10, zawierał 4 pokoje i kuchenkę. Z wybrzeżem łączył go drewniany mostek, długi na kilkanaście kroków. Wozy z rzeczami musiały dojechać o jakie pół wiorsty do mostu i tyłem podjechać w uliczkę, poło-

żoną na lądzie, o sto kilkadziesiąt kroków za Dambą. Dla koni i pojazdów znaleźliśmy z trudnością miejsce w zajeździe, po drugiej stronie kanału.

Byłoby nam w tym domku znakomicie, gdyby nie to, iż, jak u proboszcza w Rożanie, nie było ani jednego mebla. Do spania obiecała nam właścicielka domu, mieszkająca opodal w chacie, suchego tataraku z trzęsawiska, okalającego dom. Po długich naleganiach wydostaliśmy od niej i jej sąsiadki dwa stoliki, stółek i ławkę. W tej chwili zjawiała się nieznajoma nam pani, prosząc na wszystko, abyśmy jej jeden pokój odstąpili, na co się oczywiście zgodziliśmy: byli to pp. Niemojewscy z Grodzieńskiego, też wyzuci ze swego majątku. P. N. jest rodzonym bratem znanego pisarza, Andrzeja Niemojewskiego.

Drógi pokój zostawiliśmy dla pp. W. Leskich, córki i zięcia p. Brudzińskiego, trzeci zajęli pp. Andlauer, i Brudziński, a czwarty my oboje. Tatarak ułożyliśmy w rogu naszego pokoiku, w czworobok, przykryliśmy go derkami, pod głowę wzięliśmy zwinięte palta, a do przykrycia się córka moja płaszcz swój, ja zaś burkę. W tych warunkach zdejmować do spania można było tylko obuwie. Na stoliczku, zresztą mikroskopijnym, mieliśmy lusterko i nieodzowne sprzęty toaletowe, na stolku na przemian stawiało się miednicę i używało go się do siadania przed stolikiem. Zresztą wszystkie nasze drobiazgi stały i leżały na ziemi, a że stolka musieliśmy używać naszym współlokatorom, siedzieć nie było na czem, tylko na barłogu do spania. Z legowiskiem naszym pogodziliśmy się nie spodziewanie łatwo, gorzej było z brakiem krzeseł i ławek. Na wschodzie podobno miliony ludzi żyją bez innych siedzeń, jak dywany, na których się Turek, Chińczyk,

Japończyk, doskonale czują, podwinawszy pięty pod siebie. Nam, a szczególnie mnie, przy chronicznym ischiasie, dokuczało to nad wyraz. Gdy wspomnę o Słoniemiu, miłe wrażenia psuje mi to bolesne wspomnienie. Chodziłem po okolicznych domach, chcąc kupić, albo chociaż wynająć ze 2 krzesła, dawałem za wynajęcie po rublu za sztukę, byłbym dał więcej, lecz wszędzie spotkałem się z odmową.

Drugi, nieco większy stolik, oraz ławkę, ustawiliśmy w pokoju panów A. i B., który zarazem stał się jadalnym. Jadaliśmy jednak w domu tylko ranne śniadanie i kolacje, obiady zaś w restauracji Witkowskiego, albo w „klubie” miejskim. Tutaj, jak w Prużanach, trzeba było chodzić z talerzami do kuchni i samemu z saganów nalewać sobie zupę i nakładać mięsiwo. Nb. bywać w klubie mieli prawo tylko członkowie, ale, za opłatą 80 kop. u szwajcara, każdy stawał się na 24 godziny członkiem czasowym.

Pierwszymi znajomymi, jakich spotkaliśmy w restauracji, byli księstwo Mirscy z Worońca, z obiema córkami, zięciem p. Rosenwertem i młodszym synem Józefem. Odbywali oni też podróż końmi z miejsca, lecz w sposób o wiele więcej oryginalny i malowniczy, niż my. Mieli ze sobą całą służbę domową, pościel, namioty, które rozwijali pod gołym niebem, i w których obozowali jak wykwintni Cyganie.

Janek znalazł był jeszcze numer w hotelu Pietrogradzkim, na rynku, p. Dangel w hotelu Słowiańskim, obok gmachu Towarzystwa Rolniczego. Niebawem całe obywatelstwo z Królestwa, które spotkaliśmy w Prużanach, znalazło się tutaj, a oprócz tego wielu innych, między innymi państwo T. Libiszowscy z Sosnowicy w Lubelskiem.

Słoniem zrobił na nas bardzo dobre wrażenie. Handel

cały oczywiście w ręku Żydów, lecz miasto względnie duże, ładnie na wzgórzach położone, sklepy dobrze zaopatrzone; kanał Ogińskiego dodaje miastu kulturalnego wyglądu, prócz tego przerzyna je rzeka Szara. Szczególnie uderzyły nas i przejęły dumą niezatarte, dostojne ślady polskiej kultury. Nietylko piękna fara barokowa, ciekawa przy niej plebanja renesansowa, klasztor żeński, cztery inne kościoły, z których trzy po barbarzyńsku przerobiono na cerkwie, ale mnóstwo domów prywatnych rzuca się w oczy strukturą i ornamentacją renesansową lub barokową. Co więcej, wiele nowych domów żydowskich jest bezwiednie w tym charakterze zbudowanych i do ulicy zwróconych nie frontem, a szczytem stylowo ozdobnym! Dalibóg ma się chwilami złudzenie, jakby się było w jakim mieście włoskiem. Mieliśmy już przedsmak tego wrażenia w Prużanach i Rożanie. Potężne technienie zachodniego Odrodzenia, przez nas tu przed wiekami przyniesione, nie dało się dotąd jeszcze przytłumić moskiewskiej i żydowskiej przemocy i deprawacji.

Nasz Komitet Obywatelski mieścił się w lokalu Towarzystwa Rolniczego. Zubeczaninow, do którego się syn mój zwrócił natychmiast po przyjeździe, doręczył mu na początek 20.000 rubli.

Pragnąc, zgodnie z powziętym planem działania, wciągnąć do naszej organizacji okolicznych obywateli ziemskich, zaproponowaliśmy prezesowi Zarządu Towarzystwa Rolniczego, p. Aleksandrowi Mikulskiemu, i członkowi, p. Niezabytowskiemu, zwołanie odpowiedniego zebrania, na co się z całą uprzejmością zgodzili.

Liczyliśmy, iż ziemianie miejscowi, od lat tyłu pozbawieni możności przedsięwzięcia i prowadzenia polskiej pracy społecznej, skwapliwie korzystać zechcą z nadarza-

jące się sposobności, gdy przynosiliśmy im firmę gotową, urzędowo zatwierdzoną, pod którą rozwinać legalnie swą działalność mogli.

Na zebranie zjawili się kilkunastu obywateli. Obrady odbywały się w języku polskim *), co samo już wydawało się miejscowym ziemianom czemś nadzwyczajnem. Przewodniczący zakomunikował okólniki i odezwy gubernatora grodzieńskiego, zapowiadające ludności, między innemi, iż nikt nie będzie gwałtem rugowany, ani zabudowania nie będą palone. Podczas dyskusji nad tem, jak się zachować w razie najścia Niemców, ogólne zdanie było, iż należy nie ruszać się z majątków i służbę oraz włościan wedle możności starać się na miejscu zatrzymać. Dalej przewodniczący udzielił wskazówek co do sporządzania opisów majątków i co do ewentualnych odszkodowań. Do opisów były ustanowione specjalne komisje, z udziałem obywateli ziemskich, objeżdżające kolejno dobra.

Udzieliłem zebranym informacji, zaczerpniętych z naszego doświadczenia, tak co do redakcji opisów i co do otrzymania gotówki, gdy się ma należyty protokół w ręku, jak co do ogłoszeń, czynionych też urzędowo u nas, iż ludność nie będzie wysiedlana, ani budynki jej podpalane.

Baron Dangel przedstawił organizację i cele Komitetu Obywatelskiego. Jego urzędową legalność, wezwał obecnych, aby zechcieli do niego przystąpić. Nastąpiło dłuższe milczenie, po którem odezwały się głosy, iż trudno ziemianom tutejszym podjąć się jakiejś pracy w Komitecie naszym, gdy mają tyle zajęć i kłopotów własnych.

*) We wszystkich Tow. Rolniczych poza Królestwem Polskiem, dozwolony był wyłącznie język rosyjski.

Mieliśmy wrażenie, iż są nieradzi z tego, że my, ludzie obcy, przybłądy tutaj, chcemy ich jakby uczyć pracy obywatelskiej. Zabrałem przeto głos, wypowiedziałem powyższą naszą obawę, prosiłem, aby nie brano nam za złe naszej śmiałości, której przyczyną nie jest bynajmniej zarozumiałość, a konieczność, zmuszająca nas do ratowania natychmiast setek tysięcy polskiego ludu.

Członkowie Towarzystwa Rolniczego zapewnili, iż bynajmniej nie co innego, tylko brak wolnego czasu, wanie ich powoduje, wreszcie stało na tem, iż się porozumieją między sobą i wskażą nam, kto z pomiędzy nich do Komitetu Obywatelskiego wejdzie. Nazajutrz jednak prezes Towarzystwa oznajmił nam, iż nie wybrano nikogo. Czy rezultat taki przypisać należy obawie wstąpienia do organizacji, co prawda legalnej, lecz mającej charakter narodowy polski, czy też poprostu brakowi chęci do pracy, niewiadomo.

Z członków Komitetu stawili się w Słonimiu p. p. Dangel, Gieżyński, Godlewski i mój syn. P. Godlewski odjechał po 2 czy 3 dniach, i Komitet składał się nadal z trzech. Pomagali im gorliwie w pracy p. Franciszek Wierzbicki *), panny Doberskie z Wysokomazowieckiego, oraz urzędnicy miejscowego Towarzystwa Rolniczego. Wobec tego, iż tysiące włościan i niektórzy więksi właściciele nie otrzymali nic na rachunek zniszczonych zasiewów, a władze administracyjne z Królestwa odjechały w głąb Rosji, baron Dangel uzyskał od Zubczaninowa pewną sumę, z której Komitet wydawał zaliczki w wysokości 5 rb. na mórg krescensji, z ograniczeniem najwyższej zaliczki dla jednego właściciela do 5000 rb. Roz-

*) Późniejszy poseł na Sejm.

chodowano na to w ciągu kilku dni 46.000. rb. Na mnóstwie opisów i protokołów, których wójci przy ewakuacji nie zdążyli zalegalizować, poświadczal podpisy Komitet, albowiem poświadczenie jego uznane było za równoważne z urzędowem.

Celem zaopatrzenia koni w obrok, nabywał Komitet wielkie partje owsa i wydawał wygnańcom kwity, za któremi otrzymali go w magazynach przy Towarzystwie Rolniczem i przy stacji kolei; wydawano również tysiące podków i hufnali. Tłumy takie eisnęły się do biura Komitetu, iż wypadło drzwi zamknąć i przez okno interesantów załatwiać.

Zebrało się koło Słonimia kilkanaście obór zarodowych z Królestwa. Kilka miesięcy przedtem nasze Centralne Towarzystwo Rolnicze, w celu przygotowania należytej ewakuacji bydła zarodowego, weszło w porozumienie z Mińskiem Towarzystwem Rolniczem. To ostatnie oświadczyło gotowość rozmieszczenia, w razie potrzeby, naszego bydła, z tym warunkiem, iż krowy płacić będą za swą paszę mlekiem, za utrzymanie zaś jałowizny płacić będziemy gotówką, a prócz tego jedna trzecia urodzonych na wygnaniu cieląt stanie się własnością tego, u kogo będą stały krowy. Uważaliśmy te warunki, zwłaszcza ostatni, za dość uciążliwe, jednak zmuszeni byliśmy je przyjąć. Sprawa ewakuacji i rozmieszczenia obór zarodowych była w Kraju powierzona przez C. T. R. p. Godlewskiemu, dyrektorowi Syndykatu Rolniczego Siedleckiego, i p. Zyg. Zdanowiczowi, jednak obecnie wypadało nam zwrócić się wprost do Mińska. Jako członek Komisji Hodowlanej C. T. R., napisałem urzędowo do Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, proponując przyjęcie 13 obór następujących:

HOLENDERSKIE

1.	Ks. Sew. Czetwertyńskiego z Suchowoli .	52 sztuki
2.	Kazimierza Popiela z Turny	63 „
3.	Ignacego Trzcńskiego z Jedlanki . . .	39 sztuk
4.	Lucjana Gieżyńskiego ze Sławek . . .	13 „
5.	Władysława Sobańskiego z Przeździatki .	80 „
6.	Antoniego Glinki ze Szczawina , . .	5 „
7.	Ludwika Bryndzy Nadzkiego z Woroblina	77 „

CZERWONE POLSKIE

8.	Henryka Apoznańskiego z Rusi	18 „
9.	Franciszka Wierzbickiego z Boguszyce (iin.)	63 sztuki
10.	Jana Rzeczkowskiego z Osnówki . . .	13 sztuk
11.	Józefa Messinga z Sasin	17 „

S Z W Y C E

12.	Ks. Sew. Czetwertyńskiego z Suchowoli .	21 sztuk
13.	Władysława Glinki z Suska	50 sztuk
Razem		511 sztuk

Prócz tego prosiłem o umieszczenie 400 owiec zarodowych „Rambonillet précoces“ p. Andlauer z Grodziska. Z listem tym wysłaliśmy koleją umyślnego do Mińska.

Wogóle z inwentarzem mieliśmy wielką biedę. Bydło w drodze zaraziło się prawie wszystko chorobą pyska i racie, na którą chorowały wszystkie „hurty“ bydła wojkowego. Znaczna część obór już padła z wycieńczenia. Moja dotąd choroby uniknęła, niewątpliwie z tego powodu, iż ją przechodziła na wiosnę; stała ona, zarówno jak stadnina suska, w Albertynie, lecz pastwiska tam nie było, długo więc bawić nie mogły.

Syn mój przedstawił Zubczaninowi trudne położenie hodowców, którzy wyprowadzili z Królestwa najcenniejsze

resztki pracy hodowlanej kilku pokoleń, a teraz koszt utrzymania tego dobytku są tak wielkie, że bez pomocy państwowej trudno nam będzie inwentarz zachować, strata zaś jego byłaby niepowetowaną szkodą dla kraju. Pan Z. w zasadzie skłonny był nam dopomódz, lecz uważał, iż to jest rzeczą ministerjum rolnictwa, on zaś reprezentował ministerjum spraw wewnętrznych, chodziło więc o wynalezienie sposobu ominięcia tej trudności. Ostatecznie zaproponował synowi mojemu umowę następującą: „Siewieropomoszcz” nabywa nasze bydło po 6 rb. 50 kop. za pud żywej wagi, a kłacze stadne, ogiery i stadninę za cenę odpowiednią do ich pochodzenia i wieku, dając nam zadatku po 50 rb. na sztukę; oddać Siewieropomoszczy inwentarz mamy 1 marca 1916 r., i wtedy bydło będzie zważone, możemy jednak prosić o odroczenie tego terminu do 1 października tegoż roku; w razie upadku jakiej sztuki, stwierdzonego odpowiednim protokołem, zadatku nie zwracamy; każdy z nas otrzymuje dokument, stwierdzający, iż inwentarz jego jest sprzedany „Siewieropomoszczy”, więc nietylko jest wolny od rekwizycji, ale mamy sami prawo po drodze dokonywać dla niego rekwizycji paszy i pastwisk. Nadto ustnie zostało umówione, iż na wiosnę 1916 r. zwrócimy się do ministerjum rolnictwa z prośbą o darowanie nam zadatków i o zwrócenie ich „Siewieropomoszczy” przez to ministerjum, co na pewne będzie uwzględnione.

Umowa ta, jakkolwiek oryginalna, była dla nas dogodna, akceptowaliśmy ją więc i zadatki otrzymywaliśmy za pośrednictwem Komitetu naszego. Odemnie Zubczaninów „nabył” 50 sztuk bydła i 50 koni, licząc w tem starsze źrebięta. Wyniosła na razie ta subwencja ogółem 29.000 kilkaset rb.

Przybyli do Słonimia przedstawiciele Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej (Czerwonego Krzyża), księżna Michałowa Woroniecka i p. Józef Wielowieyski. Ułożono wspólne posiedzenie Polskiego Czerwonego Krzyża, Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny i naszego Komitetu Obywatelskiego. P. Wielowieyski w pięknym przemówieniu przedstawił wzniosły cel i zadania Komitetu Obywatelskiego, podkreślił jego charakter nie tylko humanitarny, lecz wybitnie polski, narodowy, wezwał inne organizacje do współpracy z nim.

Pzewodniczącą miejscowego oddziału Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny była pani Władysławowa Pusłowska z Albertyna, Hiszpanka rodem, lecz po polsku już biegle mówiąca, miłująca kraj nasz gorącem, południowem sercem. Weszła ona w ścisłe porozumienie z K. O., śropki, jakimi rozporządzała, oddała do usług jego, i gorliwie prace Komitetu dzieliła. Małżonek jej również okazał wielką dobrą wolę i ofiarność. W Albertynie utworzył się istny przytułek dla wygnańców, w mieszkaniach fabrycznych i dominjalnych znalazło schronienie kilkanaście rodzin obywateli i zarządzających. Albertyńskie zapasy paszy niknęły w oczach, rozgrabiane przez zbiegów.

Miedzy zbiegami znajdowało się wielu chłopów z Chełmszczyzny. Gdy armja rosyjska weszła do guberni Chełmskiej, p. Tadeusz Kurejusz, służący w artylerji i pełniący obowiązki adjutanta przy pułkowniku, przeczytał rozkaz, polecający nie palić i nie niszczyć wogóle wsi, „teraz bowiem wstąpiła armja na ziemię rosyjską”. Odebrawszy ten papier wraz z innemi, a wiedząc, iż Kurejusz go czytał, pułkownik okazał zakłopotanie, tłumaczył, iż to rozporządzenie jest niezręcznie zredago-

wane, że sens jego nie jest taki, jak się może wydawać. W każdym razie pozostało ono martwą literą. Rozmawiałem z kilkudziesięcioma „Chełmiakami”, i przekonałem się że palenie wsi i wyganianie ludzi odbywało się u nich tak samo, jak u nas.

Katolików z Chełmszczyzny było bardzo niewiele, Popi, jak się zresztą pokazało następnie w grodzieńskiej, kowieńskiej, wileńskiej i mińskiej guberni, umknęli z żonami i dziećmi najpierwsi, gdy Niemcy byli jeszcze o dziesiątki wiorst, i lud namawiali do jak najspieszniejszej ucieczki; księża katolicycy przeciwnie niemal wszyscy pozostali i lud swój wedle możliwości zatrzymali. Prawosławni ze złością im to wypominali: „Myśmy poszli w świat, a oni tam zostali i na swojej i na naszej ziemi gospodarzą!”

Wogóle prawosławna ludność chełmska wyróżniała się jakąś rozpaczliwą dzikością. Jeżeli gdzie w drodze ujrzeli się przypadkowo w większości, wprost napadali na naszych ludzi i odbierali im zapasy i pieniądze. Przy każdym punkcie żywnościowym wszczynali bójki, rozpychali katolików, krzycząc głośno, iż są prawosławni i powinni mieć pierwszeństwo; przedstawicielom Komitetu naszego przy każdej sposobności urągali. Nasza ludność unikała jak ognia „koszulaków”, tak bowiem przezwala Rusinów, z powodu koszuli, którą mężczyźni noszą na wierzchu spodni.

Księży z Królestwa spotkaliśmy bardzo niewiele. W Choroszczu u proboszcza spotkałem trzech. Prawdopodobnie ci, którzy mieli ducha społecznego, zostali w swych parafjach, a poszli na tułaczkę przeważnie ci, którzy go nie posiadali.

Z Mińska przysłała po 4-ech dniach odpowiedź od p. Ludwika Narkiewicza-Jodki, że mińska gubernia sama jest w niebezpieczeństwie i musi swe bydło ratować, że jednak od przyjętego zobowiązania Towarzystwo Rolnicze się nie uchyla, krowy nasze prosi przysłać, a postara się umieścić je w guberni mohylewskiej, owiec tylko bezwarunkowo przyjąć nie może. Mieliśmy bydło dostawić do Kojdanowa, o 35 wiorst od Mińska, donosząc telegraficznie o przybyciu każdej partji. Większość właścicieli obór, lub ich zastępców wahała się jednak, wobec coraz większego zagrożenia gub. mińskiej, pędzić tam bydło. Ja swoje niezwłocznie skierowałem do Kojdanowa, polecając pastuchom zatrzymać się i dać odpocząć mu po drodze w Snowie Dolnym, majątku baronowej Hartinghowej, gdzie mieli czekać na mnie.

W restauracjach coraz trudniej było o jedzenie, z jednej bowiem strony brakło materiałów spożywczych, z drugiej wojska napływała coraz większa ilość. Dniem i nocą oddziały, przeważnie obozy, przeciągały przez miasto. Pani Leska, genialna gospodyni, zajęła się urządzeniem nam stołu w domu. Na ganeczku krytym, przed domem, były przymocowane 2 ławeczki, wynosiliśmy stół, widełcami i nożami posługiwaliśmy się kolejno, mając ich za mało, zwłaszcza wieczorem, na kolację bowiem przychodzili p. Dangel i mój syn, a często i p. Wierzbicki. P. Andlauer zaopatrywał nas w baraninę ze swych „Rambouilletów“, goście przynosili konserwy, ciastka, kolacje były więc bardzo porządne, i zwykle dopiero po północy rozchodziliśmy się po ożywionej rozmowie. Mnie tylko przygnębiał coraz gorszy stan mego zdrowia.

U stonimskiego ks. dziekana odwiedziliśmy rodzinę Lutosławskich. Bawili tam: matka p. Franciszkowa Luto-

sławska, pp. Józefostwo i ksiadz Kazimierz Lutosławscy. Mieli jechać nazajutrz końmi do Mińska.

Telegrafując z Prużan do sztabu XII armji, prosiłem o odpowiedź do Słonimia, nie nadeszła jednak żadna. Wogóle obecnie o formowaniu transportu nie było mowy. Ładowanie ludzi do wagonów połączone było z ogromnemi trudnościami; kiedy niekiedy udało się komuś zdobyć wagon, ale o tem, aby większą partję ludzi wysłać razem w jedno miejsce, nie można było marzyć. Zapowiadana szumnie „likwidacja dobytku zbiegów”, t. j. zapłacenie im za wszystko, co będą zmuszeni pozostawić, okazała się mitem: wyjeżdżający mogli zabierać ze sobą tylko to, co się zmieściło z nimi do wagonu, resztę rzeczy porzucali na placu przed stacją. Coraz jaśniej widzieliśmy, że setkom tysięcy naszego ludu wypadnie posuwać się dalej na wozach lub pieszo.

Zebrałem służbę naszą, dla ostatecznego rozmówienia się i pożegnania z nią. Okazywali jakiś instynktowny lęk na myśl o zejściu z tych wozów, które były tu dla nich jakby częścią, resztką Ojczyzny. Póki na nich z rodzinami siedzieli, mieli poczucie, że są w czasowej podróży, a jeśli je opuszczą, to pożegnają się z Polską. Prosto, niemniej pięknie myśl tę wyrażali.

Oświadczyłem im, że konie i wozy powierzam im i ufam, iż je zachowają; gdyby koń padł lub wóz się rozsypał, muszą się na pozostałych wozach ścieśniać, i dalej razem, pomagając sobie nawzajem, jechać, aż Komitet znajdzie miejsce, gdzie czekać końca wojny i powrotu do Suska będą mogli. O tym powrocie marzyli wszyscy i powtarzali nieustannie: „choć budynki spalone, to sobie szałaszy albo lepianki urządzimy i będziemy w nich mieszkali, byle na polskiej ziemi, byle w Susku!” Niezatar-

wspomnienie nam pozostawiła ta z nimi rozmowa i rozstanie.

Nasza służba miała ostatecznie konie i wozy w dobrym stanie, ale jak wytrzymają dalszą, nieokreśloną drogę tysiące nędznych zaprzęgów włościańskich? Wogóle wybrali się ci ludzie w drogę, jak na kilka dni, a tu może miesiące i lata całe wędrówki ich czekały! Cholera pochłaniała coraz większą liczbę ofiar.

Nadeszła wiadomość, że nie w Słonimiu, a w Baranowiczach ma się odbyć owa „likwidacja” i ładowanie zbiegów do pociągów. Nie mieliśmy żadnej w to wiary, jednak rozkaz był formalny, a zresztą dłużej na miejscu tych rzesz trzymać nie było racji. Gdy już setki wozów ruszyły, dowiedzieliśmy się, iż po drodze do Baranowicz, w okolicy tak zwanego „Skobielewskiego obozu”, wojsko i policja ludzi dalej nie puszczają, a zawracają i kierują ich na Słuck! Zaczynała się ta sama historia, co w Prużanach! Ze Słucka miała cała masa tych nieszczęśliwych ciągnąć na Bobrujsk i dalej. Po drodze, z traktu ani szosy zjeżdżać i zatrzymywać się nie wolno było: trzeba było iść bez końca na wschód, a i to jaknajprędzej, aby nie przeszkadzać armji, której cofania się kres nie był oznaczony.

Serce się krajało na myśl o tym miljonie już teraz ludu, wygnanego z siedzib swych dziadów i pędzonego jak stado, nawet nie bydła, a dzikich zwierząt. Zbrodnia tem potworniejsza, że tak całkowicie bezcelowa, tak olbrzymim padającą ciężarem na tego samego, który ją bezmyślnie, z wrodzonego popędu i przyzwyczajenia do gwałtu i zniszczenia, popełnił.

Pamiętam, iż wśród wzburzenia mego, przyszedł mi na myśl chłop polski, na drugim krańcu naszej ziemi,

też na wozie z rodziną swą żyć zniewolony, stanął przed oczyma mojemu poznański Drzymała. Gdzie większa nikczemność? Tutaj szczerą u Moskala, lecz o ileż tam głębsza u Prusaka!

Niemcy już zajęli Bielsk i Puszcę Białowieską, Grodno i Kowno się poddały. Pora była opuścić Słonim. I tu już ani bułki, ani jajka, ani masła dostać nie można było.

Komitet Obywatelski wydał był dotąd 96.000 rb., otrzymanych prawie w całości od Zubezaninowa. Po odejściu tego ostatniego do Smoleńska, pomocnik jego, Czeliszczew, robił trudności w dalszem udzielaniu gotówki, a zarazem zdradzał się z chęcią rozciągnięcia swej bezpośredniej władzy nad Komitetem. Od chwili krótkiego pobytu p. Grabskiego w Prużanach, nie mieliśmy żadnej wiadomości od C. K. O. i skomunikować się z jego prezydum nie było możności. Komitet prużański był pierwszym, zawiązanym na wygnaniu, i był jedyną narodową organizacją, posuwającą się razem z potokiem wygnańców ku wschodowi. Ale jak się wogóle C. K. O. zorganizował na obczyźnie, jaką nasz Komitet w tej organizacji gra rolę, nie wiedzieliśmy. Słyszeliśmy, iż istotny prezes C. K. w Król. Polskiem, ks. Seweryn Czetwertyński (albowiem urzędowym był senator Lubimow), bawi w Nieświeżu, tam podążał administrator jego z Suchowoli, p. Biernacki, z godną największego uznania gorliwością zabiegający około interesów księcia. Jadąc przeto do Mińska, miałem skierować się na Nieśwież, aby w imieniu naszego Komitetu rozmówić się obszernie z prezesem, przedstawić mu desyderaty Komitetu i baronowi Dąglowi dalszą dyrektywę w niektórych zasadniczych sprawach zakomunikować.

Opuściłem z córką Słonim dnia 31 Sierpnia o godzinie 11-ej rano. Równocześnie wyjechali p. Dangel i mój syn Jan, albowiem Komitet przenosił swą siedzibę do Słucka.

W Połonce, maleńkiej, żydowskiej osadzie, spotkałiśmy p. Lesiewskiego, administratora p. Władysława Sobańskiego z Przeździatki. Obora przeździacka szła na Nieśwież do Słucka, drogą dłuższą, ale szeroką, miękką i przedewszystkiem nie zapchnaną wojskiem i tułaczami. Kilka obór zarodowych już ze Słonimia tym szlakiem na wschód podążyło.

Bylibyśmy woleli nie najeżdżać nieznajomych i zanoć w jakimkolwiek zajeździe w miasteczku, ale p. L. nas poinformował, iż dla siebie jednego nie może miejsca znaleźć, gdzie tylko bowiem był jaki kącik, już go wojsko zajęło. Dowiedzieliśmy się, że około 2-ch wiorst od miasta leży majątek państwa Pruszyńskich, Pruszynowo, postanowiliśmy więc tam się udać. Ściemniało się, gdyśmy zajechali przed drewniany dworek; na ganku stał p. Pruszyński i witał nas uprzejmym uśmiechem.

Z nieśmiałością przedstawiłem mu nasze położenie, prosząc o nocleg. Przyjął nas tak, jakbyśmy nie my jemu, a on nam był wdzięczny, żeśmy do Pruszynowa zajechali. Pani Pruszyńska niezwłocznie zajęła się przygotowaniem nam kolacji i łóżek, dla ludzi, koni i wozów naszych wyprózniono część stodoły ze stojących tam narzędzi. Zapewniłem państwa P., iż ludzie nasi dostali sute strawne, zresztą zapasy ze sobą mają, niczego więc nie potrzebują, niemniej przez odemknięte drzwi kuchni ujrzałem ich wkrótce siedzących dokoła stołu nad pełnemi miskami.

Wyjechaliśmy nazajutrz o 11-ej rano. Państwo P.

poradzili nam zajechać na popas do państwa Chacickich, dzierzawiących majątek Stołowicze. Słyszeliśmy o wspa-
niałości traktu katarzyńskiego, przeprowadzonego tedy
przez Potemkina dla imperatorowej; istotnie jest imponu-
jący. Obecnie mamy inne wymagania, wolimy drogę
węższą, a bitą, lecz należy uwzględnić epokę, w któ-
rej ten gościniec był stworzony, a i teraz, będąc
prosty, równy, stanowi on, w braku szosy, znakomitą
arterję komunikacyjną. Szeroki jest od rowu do rowu
około 40-tu kroków, za rowami wysadzony jest z każdej
strony dwoma rzędami brzoź, odległymi od siebie na 7
do 8 kroków. Podobno po wysadzeniu traktu pierwszemi
brzożami, ukaz specjalny za uszkodzenie każdej nazna-
czył karę śmierci. Teraźniejsze brzozy, choć stare, Ka-
tarzyny nie pamiętają, mają po 50 do 80 lat. Gościniec
wytknięty jest po przez góry, doliny, pola, łąki, lasy,
nieraz kilkanaście wiorst jak kulą strzelił, widocznie na
załamki decydowano się jedynie w razie konieczności
przyrodzonej. W okolicach piaszczystych każdy przeje-
żdżający szuka sobie nowej kolei, a ponieważ ruch jest
mały, znajdzie się dla każdego miejsce nierozjeżdżone,
trawą porośłe. Chłopi swemi małemi wózkami chętnie
jeżdżą poza rowami, między rzędami drzew, tworzą się
więc właściwie trzy drogi, środkowa szeroka i dwie
boczne, wąziutkie. Chociaż powóz mieliśmy dosyć ciężki,
jechałszy prawie ciągle klusem.

Koło godziny 1-szej stanęliśmy w Stołowiczach. Nie
było w miasteczku ani zajazdu, ani herbaciarni, gdzieby
można dostać choćby tylko samowar. Widząc dość duży
nowy kościół, podjechaliśmy do plebanji, była jednak,
jak i kościół, pusta i na klucz zamknięta. Objaśnili nas
przechodnie, że ksiądz tu nie mieszka, a dojeżdża od

czasu do czasu z sąsiedniej parafji, trzeba więc było zapukać do państwa Chaciekich, których dwór stoi tuż za miasteczkiem. Sądziliśmy, iż muszą być po obiedzie, przedstawivszy się więc, poprosiliśmy jedynie o herbatę, tymczasem, z powodu pakowania rzeczy do ucieczki przed Niemcami, obiad był opóźniony, a ponieważ miały być właśnie kurczęta pieczone, dołączyliśmy swoje, któreśmy mieli od p. Pruszyńskiej, odegrzano je, i zasiadliśmy wspólnie do stołu z całą, liczną rodziną.

Nader uprzejmie i gościnnie potraktowani, spieszyliśmy się, aby za dnia dojechać do Snowa-Dolnego, gdzie czekali nas ludzie nasi z bydłem.

O godzinie 6½ dotarliśmy do Snowa. Od Słonimia przejechaliśmy z górą 80 wiorst. Nie dojeżdżając do miasteczka, skreściliśmy na lewo i znaleźliśmy się na wielkiem podwórzcu; budynki uderzyły nas swą liczbą i pięknym wyglądem. Na krańcu podwórza stoi nowa gorzelnia, w głębi stary, długi, drewniany dwór. Dowiedzieliśmy się, że właścicielka, baronowa Hartinghowa, rezyduje w innym majątku o kilkanaście wiorst, podszliśmy więc do domku rzadcy, p. Zawadzkiego, o ile pamiętam. Nie zastaliśmy go, lecz małżonka jego poinformowała nas, iż są dla nas pokoje gotowe w oficynie, którą wzięliśmy za dwór, i zaraz nas tam zaprowadziła. Czekala nas niespodzianka.

Oto p. Hartinghowa, ze względu iż Snów leży przy wielkim trakcie litewskim, którym uchodzić musiało wielu obywateli ruszonych ze swych siedzib, kazała w oficynie urządzić trzy pokoje gościnne, z meblami i łózkami, osadziła gospodynię i służącą, i każdy zajężdżający znajdował tu nietylko nocleg, ale herbatę, cukier, chleb, bułkę, masło, wszystko bezpłatnie. Czuliśmy się

skrepowani tą gościnnością, niemniej z niej skorzysta-
liśmy, tylko za jaja zgodziła się gospodyni wziąć zapłatę.
oraz za kurczęta, o upieczenie których prosiliśmy.

Nie było właśnie dnia tego w tym dobroczynnym
hotelu nikogo, lecz wogóle bywał stale zajęty: dzień
przedtem nocowała tu administracja ks. Seweryna Cze-
twertyńskiego, poprzednio sąsiad nasz, p. Roman Gro-
chowski.

Indzi naszych, ani bydła i koni, na razie nie spot-
kaliśmy, stali bowiem w bliskości pałacu, mniej więcej
o pół wiorsty od podwórza. Podjechaliśmy tam o zmierz-
chu; po drodze ujrzeliśmy nasze szwyce pasące się na
torfowisku, a dalej, wśród drzew, obozowisko naszych lu-
dzi, otoczone mnóstwem żołnierzy.

Odwiedził nas młody baron Hartingh, syn właścici-
elki, w wojskowym mundurze. Wielce byliśmy radzi
widzieć kogoś z rodziny i módz za jego pośrednictwem
wyrazić p. Hartinghowej całą naszą wdzięczność za do-
znaną gościnność. Dowiedzieliśmy się od p. Hartingha,
iż wspaniały pałac w stylu „empire” postawił w pierw-
szej połowie XIX wieku p. Rdultowski, po którym Snów-
Dolny nabył baron Hartingh. Pan R. zapisał testamen-
tem pałac jakiemuś zakonowi, ponieważ ten jednak nie
ma prawa istnieć w Rosji, zapis pozostaje martwą literą,
pałac zaś rozsypuje się w gruzy.

Opuściliśmy Snów-Dolny dnia 3-go września o 11-ej
rano. Oborę wyprawilem poprzedniego dnia. Posuwając
się dalej traktem katarzyńskim, mijaliśmy zbiegów, lecz
już samych Białorusów; nasza ludność trzymała się szos.
Białorusi byli nie wygnańcami, a istotnie zbiegami, czy
uciekinierami, albowiem na 100 wiorst, a nawet dalej od
linji boju, uciekali w świat. Od Słonimia widzieliśmy we

wsiach typowe dachy, na 4 strony słomą kryte, z podwójnym okapem u obu szczytów. Wsie, bardzo zresztą rzadko rozrzucone, czynią wrażenie zamożnych.

Spotykaliśmy tłumy nowobrańców 19-sto letnich, wielu miało wygląd zupełnie dziecinny, tak co do wyrazu twarzy, jak wzrostu, budowy ciała i ruchów.

Położenie faliste, naprzemian obszerne pola o pięknej glebie, zielone łąki i malownicze bory, tworzą całość prawdziwie uroczą. Mówiliśmy z córką do siebie, że, jakkolwiek nas serce ciągnie do opuszczonej, rodzinnej ziemi, zdaje nam się, iż gdyby w tym kraju przyszło nam zamieszkać, zgodzilibyśmy się na to chętnie, w każdym razie chętniej, niż na jakąkolwiek inną siedzibę.

Dopędziliśmy niebawem nasze bydło, pasące się na łące: mówili nam pastuchy, że zjawił się jakiś stróż i chciał ich wypędzić, ale mu się szwyce podobały, jako że do saren podobne, i dał im spokój. Łąka i przyległe lasy należały już do ordynacji nieświeskiej.

Kilkanaście wiorst jeszcze przejechawszy lasem, o godzinie 2-giej ujrzelśmy na wzgórzu Nieśwież, z kościołem i cerkwią, górującemi nad miastem. W dobrze zabudowanym, obszerne, porządnem, ludnem mieście, znaleźliśmy cukiernię, gdzieśmy się posilili upieczonemi w Snowiu kurczętami, herbatą i świeżem pieczywem; zaszedłem do telegrafu zawiadomić Mińskie Towarzystwo Rolnicze o wyprawieniu obory naszej do Kojdanowa, napisałem pocztówkę do Stefka do Borysowa, poczem podjechaliśmy do zamku.

U krańca miasta stoi dawna kolegjata jezuicka, tuż za nią brama wjazdowa, dalej prowadzi do zamku około pół wiorsty długa grobla, drzewami wysadzona; po obu

jej stronach ciągną się łąki, a z prawej widać obszerne jezioro. Zamek otaczają głębokie fosy i potężne wały; przejechawszy most, ongi zwodzony, i właściwą bramę zamkową, znaleźliśmy się w dużym, wewnętrznym, kwadratowym dziedzińcu, w głębi którego spotkaliśmy w sieni ordynata, ks. Alberta, któremu w paru słowach przedstawiłem, jakim sposobem się tu tak daleko znaleźliśmy. Na pierwszym piętrze zastaliśmy księżną Jerzową wdowę, młodą ordynatową, ks. Konstantego Radziwiłła z Towian, oraz pana Ignacego Wróblewskiego. Dowiedzieliśmy się, iż ks. Seweryn Czetwertyński bawi jeszcze, wraz z rodziną, w Żołudku, w gub. Wileńskiej, u brata swego Ludwika. Rodzice ich, ks. Włodzimierzostwo, pozostali w Milanowie w Siedleckiem, z trzecim synem Włodzimierzem.

Pragnęliśmy choć pobieżnie przejrzeć zbiory nieświeskie. Lecz właśnie je pakowano, aby przewieźć je do Moskwy, wagonów tylko dotąd nie można było użyć. Pan Wróblewski z wielką uprzejmością oprowadził nas po całym zamku. Najcenniejsze rzeczy z archiwum stały już gotowe do drogi w 250 dużych pakach drewnianych, ale była to zaledwie połowa. W bezpieczne miejsce był już wysłany oryginał aktu Unji Lubelskiej, nie będący własnością ks. Radziwiłłów, a narodu: ordynaci nieświescy są jego dziedzicznymi kustoszami. Wiadzieliśmy tego dokumentu fotografię. W kaplicy zamkowej, nad ołtarzem, widniało puste miejsce po wywiezionym obrazie Matki Boskiej, który Jan Sobieski miał ze sobą pod Wiedniem. Wogóle cały Nieśwież, od archiwum i kolekcji zbroi, broni, siodła, klejnotów, monet i t. d., aż do każdego z mebli rozrzuconych po paruset komnatach, stanowi jedno olbrzymie muzeum, wśród

którego rośnie wzruszeniem i dumą serce każdego Polaka. Zgroza pomyśleć, żeby takie skarby mogły stać się przedmiotem czy to pohulanki Kozaków, czy konfiskaty Prusaków. Zamek, w kształcie wielkiego czworoboku piętrowego, z wielkim podwórzem wewnątrz, z dwiema wieżami od frontu, wybudował ks. Radziwiłł Sierotka, w drugiej połowie XVII wieku. Ordynacja, stanowiąca część posiadłości ongi radziwiłłowskich, ma obecnie przestrzeni z górą 300.000 morgów.

W księdze, gdzie się podpisują zwiedzający Nieśwież, pod naszymi podpisami dodałem „w drodze końmi z Suska nad Narwią, dnia 3 września 1915 roku”. Figuruje w tej księdze między innymi podpis Wilhelma II, wówczas jeszcze syna następcy tronu Fryderyka.

Córka moja zrobiła kilka zdjęć fotograficznych zamku i otoczenia. Na podwórzku widzieliśmy kilka wielkich dzwonów, zdjętych z kolegiaty, a przed wiekami przez Radziwiłłów fundowanych.

Księżstwo ofiarowali nam gościnnie nocleg w zamku, jednak godzina była za wczesna, a za małą przestrzeń tego dnia przebyliśmy, aby dalszą drogę przerywać. Polecili nam więc zajechać na noc do ich przyjaciela domu, p. Bohdana Pujłanowskiego, dzierżawiącego ordynacki folwark Marchaczowszczyznę, o 25 wiorst od Nieświeża. Pan Wróblewski odprowadził nas jeszcze do kolegiaty, aby nam pokazać mieszczące się tam groby Radziwiłłów, jednak tylko córka moja je zwiedziła, mnie gwałtowna newralgia zniewoliła pozostać w powozie. Właśnie połykałem proszek pyramidonu, gdy ujrzałem zbliżającą się skromnym jednokonnym powozikiem, powożonym przez fornala w „maciejówce” na głowie i w sukmanie, zawsze

nieskończenie uprzejmą ks. Jerzową: ponieważ wspomniałem, iż miałem do pomówienia z ks. Sewerynem Czetwertyńskim, księżna podjechała się zapytać, czy nie życzę sobie, aby mu co ustnie zakomunikowała, a zarazem przewiozła nam sporą torbę pysznych renklod na drogę. Do ks. Cz. miałem właśnie zamiar napisać kilka słów i zostawić je panu Wróblewskiemu, co też uczyniłem.

Jadąc dalej traktem Katarzyny, doswiadczyliśmy, że się już psuć zaczynał. Dobry on jest na zwykły, niewielki ruch, ale przejazd licznych obozów wojskowych i ładownych wózków zbiegów rozerznął go i porobił w nim doły, tak, że szybko jechać było niepodobna; wiele jednokonnych furmanek uciekających Białorusów stawało zupełnie. Przed miasteczkiem Swierzeń, zaraz za krzyżem przydrożnym, dokładnie nam wskazanym przez księcia Alberta, skrzyliśmy na lewo, na prawie niewidoczną dróżkę polną, i o 7-mej zajechaliśmy przed dworek w Marchaczowszczyźnie.

Pan Pułjanowski przyjął nas z oznakami przerażenia „U nas niema miejsca zupełnie! wołał. Jaceście państwo do nas trafili? Jesteśmy za górą! Z traktu wcale nie widać Marchaczowszczyzny!” Rzeczywiście, gdyby nie drobiazgowo informacje dane nam w Nieświeżu, nigdy byśmy tu nie dojechali. Widząc zamieszanie, jakie czynimy, zabieraliśmy się do odwrotu, gdy usłyszałem za sobą szybki szept: „Monsieur, ne faites pas attention, c'est le meilleur de hommes, dans cinq minutes il sera charmant, vous verrez”. Ujrzałem szczupłą osobkę, to samo zdanie drugi i trzeci raz powtarzającą. P. Pułjanowski wybiegł na podwórze, Francuska wtedy głośno nam opowiedziała, że państwo są na wyjeździe, rzeczy już zapakowali, ale miejsce dla nas się znajdzie, zresztą

sami gospodarstwo, nadzwyczaj dobrzy i gościnni, nie puszcza nas, gdybyśmy teraz odjechać chcieli.

Rzeczywiście pan Pułjanowski, powróciwszy po chwili, tak serdecznie nas przeproszał za pierwsze swe słowa i nałgał o pozostanie, iż nasze skrupuły upadły. W rozmowie pokazało się, iż mamy w Warszawie wielu wspólnych znajomych. Pan P. jest badaczem dziejów starożytności, szybko więc zeszło parę godzin na pogawędcę, nie tylko nadzwyczaj miłą, lecz dla nas pouczającą. Różnych rzeczy dowiedzieliśmy się, mianowicie z historii Nieświeża.

Kłopot sprawiliśmy ogromny pani Pułjanowskiej, musiała bowiem dla nas wydobywać pościel już zapakowaną na drogę. Napróżno prosiliśmy, aby sobie ceremonji z nami nie robiono, albowiem byle jakie kanapki, lub tylko sieniki na podłódze nam wystarczą, urządziła nam pani P. nocleg iście królewski. Przy doskonałej kolacji poznaliśmy miłego 9-cio czy 10-cio letniego synka jedynaka państwa Pułjanowskich, Donata.

Nazajutrz rano chcieliśmy po śniadaniu wyjechać, lecz nas gościnni gospodarstwo zatrzymali aż do obiadu. Prawdziwie wzruszeni ich sercem, dopiero koło trzeciej pożegnaliśmy ich.

Podążaliśmy na noc do Niehorełego, majątku należącego do hr. Karolowej Czapskiej, ale będącego w dzierżawie. Rozpadał się deszcz, gościniec, już i tak popsuty, rozmiękł tak, iż prawie wciąż stępa jechać musieliśmy. O dziesiątej wieczorem, wśród ciemności i ulewy, wjechaliśmy na wielkie podwórze, wypełnione wojskiem i mnóstwem prywatnych ekwipaży, przeważnie karet i powozów. Z trudnością dostaliśmy się do oficyny, której drzwi odemknąwszy, ujrzałem tłum panów i pań z dzieć-

mi, rozmawiających o noclegu; cofnąłem się i kazałem podjechać przed dwór, widny opodał po licznych oświeconych oknach. W wielkiej sieni siedziało i stało kilkanaście osób; gdym zapytał, czy znajdzie się dla nas miejsce, jedna z pań, załamując ręce, zawołała: „Panie, to rozpacz, jest nas tu pełno, a nie tylko łóżka, ale krzeseł w tym domu niema; chcieliśmy przynajmniej samowar pożyczyć, to i tego niema!”

Wróciłem do powozu, gdzie czekała moja córka; słyszeliśmy, iż o parę wiorst od majątku jest stacja kolei*), postanowiliśmy więc tam szukać noclegu. Na domiar nieszczęścia chłopiec, wiozący wozem nasze rzeczy, pozostał w tyle, a nie zastawszy nas tutaj, mógł pojechać dalej i zgubić nas zupełnie; niepodobna było jednak czekać pod potokami deszczu i wśród przejmującego zimna. Chwila ta była jedną z najprzykrzejszych z całej podróży, boć możliwem było, iż nam całą noc wypadnie przebywać na dworze w podobnych warunkach.

Dojechawszy do pierwszej wioski, czy osady, dowiedzieliśmy się, że na stacji niema ani bufetu, ani poczekalni; jakiś litościwy Białorus zaprowadził nas do domku Żydówki, która nam ofiarowała pokój z dwiema ceratowami kanapkami; dla koni też się znalazło pomieszczenie. Byliśmy ocaleni!

Dostaliśmy jajecznicę, herbaty, świeżej „chały”, na dwie kanapki nakładła nam nasza gospodyni, inteligentna i wymowna niewiasta, piernatów, i wyspaliśmy się wcale dobrze. Wogóle w naszej długiej podróży doznaliśmy wszędzie od Żydów prawdziwej gościnności. Córka moja, wielka antysemitka, przyznawała, iż wojownicze jej uspo-

*) Obecnie granica polsko-sowiecka.

sobienie względem synów Izraela znacznie złagodniało. Nietylko w Prużanach, Słonimiu i tutaj, gdzieśmy byli gośćmi Żydów, lecz wszędzie po sklepach, gdy się dowiadawali kim i skąd jesteśmy, okazywali nam Żydzi współczucie, szukali rozmowy, wyrażali nienawiść do wspólnego gnębiiciela, t. j. do Rosji. Kwintesencją ich wynurzeń było zawsze: „najwięcej na tej wojnie cierpią Żydzi i Polacy, ale Bóg jest sprawiedliwy i spodziewamy się, że po tem cierpieniu nastaną lepsze czasy, skończy się łajdactwo i prześladowanie rosyjskie.”

Nazajutrz nie mogliśmy wcześniej wyjechać, albowiem nasz woźnica Piotrek musiał przez parę godzin szukać konno chłopca z naszymi rzeczami; jeździł w różne strony, aż znalazł go śpiącego na wozie w Niehorelem, w zamkniętej stodole. Zamierzaliśmy prosić o następny nocleg hr. Jerzego Czapskiego w Przyłukach. Pogoda się zupełnie wyjaśniła, tylko zimno trwało. Po drodze podziwialiśmy piękne, urodzajne grunty; na niektórych szlakach już młode żyto ładną, rudawą ruiną ziemię okryło.

Mijaliśmy wielkie ilości wojska, a raczej ludzi w szynelach, bo karabinu żaden nie miał. Przystawialiśmy i rozmawialiśmy z nimi, jeden wskoczył na stopień powozu i jechał z nami kilka wiorst. Bardzo był inteligentny, wyrażał się jasno i dobitnie; dowiedzieliśmy się, iż to garnizon z Kowna, sto tysięcy ludzi, idzie pieszo do Borysowa, a może dalej. Oddanie twierdzy przypisywali żołnierze jedynie zdradzie generała Grigorjewa; armat podobno zostawiono Niemcom 3600. Mówił o tem wszystkim nasz towarzysz podróży ze zdumiewającym spokojem. Dla każdego innego żołnierza europejskiego, ożywionego patryotycznym zapalem i niosącego życie za ojczyznę, znalezienie się w takich warunkach byłoby

czemś straszmem: albo w rozpaczę odmówiłby dalszego posłuszeństwa, albo wyrznąłby swych dowódców, zdrajców i złodziei. Rosyjska armja nie zna owego podniosłego nastroju, ideowego zapału, ale nie wzniósłszy się na szczyty, nie odczuwa klęski jako runięcia w przepaść. Cały duch jej trwał i trwa w płaszczyźnie szarej, nieziennej, mglistej. Stanowi to jej słabość, lecz tylko narazie; jeśli zwyciężyć jest dla niej trudnem, to i być zwyciężoną nie jest wprost zdolna. Słusznie Ruskin powiedział: „jest pokonanym jedynie ten, kto się pokonanym uznaje”. Rosja może w danej chwili przyznać, iż została pobita, lecz tej głębi upokorzenia i bólu, którą podobna świadomość dla innego narodu zawiera, odczuć nie potrafi, dla tego z jej strony takie przyznanie się byłoby nie tragicznym przełomem, a jedynie skonstataowaniem faktu, formułą bez uczuciowej treści. Widzieliśmy to już po japońskiej wojnie.

Popasaliśmy pół godziny w miasteczku Kojdanowie, gdzie nam podano samowar w numerze żydowskiego hoteliku. Dostaliśmy oboje silnego kataru, na szczęście w Kojdanowie można było kupić tuzin chustek, coprawda nie obrobionych, i ozdobionych okropnym, zielonym szlakiem.

O godzinie 6-tej zbliżyliśmy się do Przyłuk. Leżą one w dolinie, w głębi której wznosi się wzórze, a na niem, wśród pięknego parku, pałac, widoczny z daleka. Dojeżdża się doń drogą dość stromą, wężowato wśród drzew prowadzącą.

Zbliżając się, odczuwaliśmy raz jeszcze to ściśnięcie serca, którego się doświadcza, gdy się jest zmuszony narzucić się nieznanomym. Hr. Czapski i jego cztery

córki przyjęli nas z tak ujmującą uprzejmością, jakbyśmy byli oczekiwanyymi gośćmi. Dotychczasowa droga tak mnie wyczerpała, a dom państwa Czapskich był tak miłym, iż uległem pokusie odpoczęcia tu do trzeciego dnia. Piątej córki hr. Czapskiego, panny Karli, nie zastaliśmy w Przyłukach, a z dwóch synów spotkaliśmy tylko młodszego. Poznaliśmy też tutaj miłą i inteligentną córeczkę księstwa Michałostwa Woronieckich, Basię, która opuściła kraj z matką, gdy ojciec jej i bracia pozostali w Warszawie.

Pružany były już zajęte przez Niemców, nadjechały więc z rodzinami do Przyłuk: p. Dziekońska z Prużańskiego, z domu Tołłoczkoźna, jej siostra p. Tarasowiczowa, oraz p. Rothowa, te dwie ostatnie z Grodzieńskiego. Pannie te miały ze sobą setki bydła i koni, które szły bez określonego celu, na północo-wschód. Wielka była szkoda wspaniałej i licznej szwyckiej obory pani Rothowej, w znacznej części już zmarnowanej.

Panny Czapskie niezmordowanie zabiegały, aby tym licznyim gościom wszelkie możliwe wygody zapewnić. Najstarsza córka p. Czapskiego, Leonowa hr. Łubieńska, była na odjeźdnie w Orszańskie, do majątku męża; siostry jej pragnęły nie opuszczać Przyłuk, w każdym razie cała rodzina była zdecydowana do Rosji nie jechać, jednak rozum nakazywał być przygotowanymi na wszystko, postanowili więc państwo Czapscy wziąć mieszkanie w Mińsku, przewieźć tam najcenniejsze rzeczy i przenieść się do miasta, aby raczej tam, niż na wsi przebyć chwile przejścia pod rządy niemieckie. Zresztą do Mińska wołała tak ojca, jak córki, praca społeczna, której się, zwłaszcza hrabianki, z największem poświęceniem oddają.

Dnia 7 września opuściliśmy Przyłuki, razem z hr.

Czapskim, i przed południem stanęliśmy w Mińsku, przejechawszy od Słonimia 200 wiorst.

Wyobrażaliśmy sobie Mińsk jako marną żydowsko-rosyjską miścinę, byliśmy więc zdziwieni obszernością miasta, mnogością ulic porządnie zabudowanych, sklepów bogatych. Kursują konne tramwaje, ruch ogromny, oświetlenie elektryczne, słowem miasto europejskie, z którem mało z naszych miast prowincjonalnych równać się może. Na ulicach, w sklepach, hotelach, wszędzie mowa polska i napisy często, obok rosyjskich, polskie.

Hotel Paryski, gdzie hr. Czapski miał stałe miejskie mieszkanie, zastaliśmy całkowicie zarekwirovanym dla wojskowych, udaliśmy się więc do Europejskiego. I tu przyjemnie nas zadziwił komfort: winda, światło elektryczne, szerokie korytarze, kąpiele, pokoje czyste i wygodne, sala restauracyjna bardzo ładna.

10 września 1915 roku. Od dzisiaj zaczynam notować codzien lub co kilka dni fakty i wrażenia, odtąd więc pamiętnik niniejszy przybiera postać dziennika.

Ogólnem jest mniemanie, iż Niemcy dążyć będą aż do Dniepru, że przeto zajęcie przez nich Mińska jest tylko kwestją czasu. Wobec tego myślimy o zamieszkaniu tutaj, aby się dać zająć i powrócić do kraju. Część odszkodowania odebrałem w Słoniuiu, na dochodzenie reszty pozostawię plenipotencję synowi. Wiele rodzin, szczególnie urzędniczych, opuszczających. Mińsk, pragnie oddać za bezcen swe mieszkania, razem z meblami, byle ich pustych nie pozostawić na pastwę losu. Musimy jednak przed ostateczną decyzją dojechać do Borysowa, porozumieć się z panną Piętkówną, odebrać gotówkę, którą do tamtejszej kasy powiatowej ze Słonimia przekazałem, oraz rzeczy wysłane z Hajnówki. Zanim zaś udamy się do

Borysowa, muszę umieścić swą oborę, przy pomocy tu-tejszego Towarzystwa Rolniczego, gdzie mi kazano czekać na przyjazd p. Ludwika Narkiewicza-Jodki. Tymczasem, za zgodą hr. Karolowej Czapskiej, skierowałem krowy swe z pod Kojdanowa do jej majątku Stańkowa. W tym celu wysłałem wczoraj kolejną do Kojdanowa wygnańca z powiatu Trockiego, gub. Wileńskiej, Wacława Nawsucia. Nastreczył mi go Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny. Zainteresował mnie Nawsuć, zamożny dotąd szlachcie, Polak całą duszą, typ pokrewny naszej szlachcie drobnej Rodzinny jego zaścianek „Kopiec”, był widownią boju, podczas którego Nawsuć zgubił całą rodzinę.

Zastąpiłem w Mińsku p. Marjana Lutosławskiego, przedstawiciela Polskiego Komitetu Sanitarnego i Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Z pism wiedziałem, iż z pomiędzy członków tego ostatniego, opuścili kraj pp. Alfons Bogusławski, Stanisław Wojciechowski *), Władysław Grabski, Stanisław Leśniowski, Marjan Lutosławski, Tadeusz Rutkowski, ks. Seweryn Czetwertyński i Fryderyk Jurjewicz; Komitet dotąd skooptował pp. Leopolda bar. Kronenberga, Franciszka Nowodworskiego, Joachima Gallere, J. Zdziechowskiego **), Stanisława Glezmera, Władysława Żukowskiego, Aleksandra Lednickiego, G. Święckiego, Jerzego Gościckiego i Jana Harsewicza. Od M. Lutosławskiego dowiedziałem się o organizacji Komitetu na wygnaniu. Prezes C. K. O. w Królestwie, Sew. Czetwertyński, był dotąd nieobecny, więc Komitet głównym Pełnomocnikiem swoim wybrał W. Grabskiego. Ustrój C. K. O. w Rosji ma być zmie-

*) Późniejszy prezydent Rzeczypospolitej.

**) Późniejszego Ministra Skarbu.

niony, w dostosowaniu do nowych warunków działalności. Mianowicie zamiast Komitetów prowincjonalnych, ma być ustanowiony szereg Pełnomocników okręgowych, rozporządzających funduszami i kierujących całą akcją Centralnego Komitetu Obywatelskiego w danym okręgu. Marjan Lutosławski jest jużznaczony pełnomocnikiem na gubernię Mińską, a Joachim Gallera na gub. Mohylewską; na okręg Moskiewski ma być, mówił Lutosławski,znaczony ks. Seweryn Czetwertyński; inne okręgi mają być tworzone i obsadzone w miarę potrzeby. Zarząd Centralnego Komitetu Obywatelskiego ma rezydować w Piotrogradzie.

Lutosławski uważa, iż dla Komitetu naszego, utworzonego dorywczo w Prużanach przez Grabskiego, w tej nowej organizacji niema miejsca, musi on więc przestać istnieć.

Przekonaliśmy się już sami w Prużanach i Slonimiu, iż tworzenie Komitetów stale w danych miejscowościach rezydujących, nie da się urzeczywistnić, póki fala wygnańców dalej się posuwa; lecz zastąpienie działalności zbiorowej indywidualną nie wydaje mi się właściwem. Już u nas, w kraju, nie wiem, czyby prezes prowincjonalnego Komitetu Obywatelskiego był zechciał na siebie jednego wziąć odpowiedzialność za całą działalność Komitetu; tem bardziej tutaj, w warunkach tak nowych i niezwykłych. Może taki ustrój dogadzać jedynie ambicjom i despotyzmowi pewnych jednostek.

11 września. Oprócz Marjana Lutosławskiego i jego żony, bawili w Mińsku, w chwili naszego przyjazdu, pani Wincentowa i państwo Józefostwo Lutosławscy. Odjechali wszyscy wczoraj wieczorem do Moskwy. Dłużej rozmawiałem z p. Wincentową, małżonką filozofa, a samą

utalentowaną poetką hiszpańską. Znam ją od lat kilkunastu i raz jeszcze przekonałem się o jej gorącym patriotyzmie polskim. Jej oburzenie na to, co Rosja uczyniła z Polską, niema granic. Przypomniła mi się druga dzielna Hiszpanka-Polka, pani Pusłowska z Albertyna.

Zjawił się pan Jodko-Narkiewicz; dowiedziałem się, iż w najdalszych powiatach guberni Mińskiej, a nawet w guberniach sąsiednich panuje popłoch. P. Jodko-Narkiewicz, którego majątek leży w powiecie Słuckim, zrezygnował się już na wszystko, między innemi na zmarowanie własnej, cennej obory, którą przez długie lata wyhodował, trudno więc się spodziewać, aby cudze bydło ratował. Ziemianie tutejsi wogóle, jakkolwiek ceniący dobra doczesne, wyrzekają ich się w strachu ze zdumiewającą łatwością. Uważam, że Tow. Rolnicze Mińskie ma wobec tych hodowców, w imieniu których pisałem do niego ze Słonimia, moralne zobowiązanie i domagam się, aby mi koniecznie dopomogło umieścić moją oborę. Pan Zaniewski, dzielny sekretarz Tow. Rol., ofiarował się napisać niezwłocznie do kilku najbliższych Tow. Rolniczych o miejsce dla mojego bydła. O innych oborach, które przechodziły przez Słonim, nie było dotąd w Mińsku wiadomości, widocznie poszły wprost na wschód.

Gdym pisał ze Słonimia do tutejszego Tow. Rol., dziwili się Królewiaczy, iż piszę po polsku. Zdaje nam się w Królestwie, iż żywiołu polskiego zaledwie resztki wegetują tu jeszcze w niektórych dworach lub pałacach wiejskich, tymczasem przekonałem się, iż cała niemal większa własność jest jeszcze w rękach Polaków, a i w miastach inteligencja jest polską. Oprócz Tow. i Syndykatu Rolniczego, polskimi są w Mińsku najpo-

ważniejsze instytucje: Wzajemne Towarzystwo Ubezpieczeń od Ognia i Bank Wzajemnego Kredytu.

Co do miasta samego, informują nas, iż polskie wrażenie czyni ono dopiero teraz, gdy się w niem zebrały tysiące Koroniarzy. Przed wojną, pomimo inteligencji polskiej, charakter miasta był rosyjsko-żydowski. W podróży Żydzi pozostawili nam raczej sympatyczne wspomnienie. W Mińsku, jak podobno i w innych większych miastach litewskich, odznaczają się arogancją; czują się pierwszą rasą po czynowniczej.

14 września. Przez tydzień pobytu spotkałem tu pp. Henryka Pilawitza z żoną, z kuzynką p. Miaskowską i siostrzenicą p. Hanią Lilpopówną, córką Stanisława z Brwinowa; Józefa Godiewskiego z Kosk, Juliana Tołłoczkę, Stefana hr. Przeździeckiego, Stanisława Ciechanowieckiego, Ryszarda Skarzyńskiego, wreszcie onegdaj zjawił się ks. Seweryn Czetwertyński, wielce przygnębiony; wczoraj przyjechał jego szwagier, Andrzej hr. Żółtowski; obaj na razie rodziny swe umieścili u hr. Czapskiej w Stańkowie.

Całe pierwsze piętro hotelu Europejskiego zajmuje naczelnik Dźwińskiego Okręgu Wojennego, generał baron Rausch von Traubenberg, podobno naturalny syn Aleksandra II.

Byliśmy oboje zaproszeni na posiedzenie Centralnego Komitetu Obywatelskiego w lokalu Zarządu Towarzystwa Rolniczego. Byli obecni pp. Adolf Świda, zastępujący nieobecnego M. Lutosławskiego, J. Gallera, St. Wojciechowski, ks. Seweryn Czetwertyński, oraz 8-miu czy 9-ciu instruktorów Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Instruktorzy ci nieustannie podróżują, spotykają wygnańców, czuwają nad zaspokojeniem ich potrzeb,

organizują ich w „partje”. Każdą partję, złożoną z 50 do 200 ludzi (licząc w tem i dzieci), pochodzących z tej samej wsi, a przynajmniej z tej samej okolicy, prowadzi przez nią samą i z pośród niej obrany „przewodnik”, który dostaje od instruktora, na ogólne potrzeby partji, pewną sumę; składa on prócz tego regularnie krótkie raporty piśmienne o posuwaniu się partji, jej zdrowotności, narodzinach, zgonach i t. d. Otrzymuje 10 rubli miesięcznie wynagrodzenia, oprócz ogólnych zapomóg wygnańczych.

Myśl organizowania naszych tułaczy w partje jest podobno osobistem natchnieniem W. Grabskiego. Okazała się ona nadzwyczaj szczęśliwą. Partje chronią lud nasz od rozbicia moralnego; wygnaniec znajduje w nich surogat tych organizacji społecznych, z którymi się z żył i bez których czuł się dotąd błędnym, mianowicie gminy, gromady wiejskiej, a od przeszłego roku Komitetu Obywatelskiego miejscowego; wielu tułaczy czuje w partji nawet pewne zastępstwo rodziny. Jak bardzo była ta organizacja na czasie, dowodzi ochota, z jaką nasz lud się w partje formuje i trzyma ich się. Nadzwyczaj ciekawe były relacje, składane kolejno przez instruktorów, którzy dotąd już kilkadziesiąt partji sformowali.

Szeroko rozwinął swą działalność tutejszy oddział Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Oddziały jego, któreśmy spotykali dotąd po drodze, były wszystkie martwe. Mińsk skupił wyjątkowo dzielne jednostki: pp. braci Iwaszkiewiczów i ich żony, państwa Kryńskich, panny Czapskie, dojeżdżające tu codzien z Przyłuk. Robota wre i do biura Oddziału, w lokalu Towarzystwa Rolniczego, cisną się tłumy biedaków.

Widoki zajęcia przez Niemców Mińska słabną; zdaje

się, że zadowolnią się wzięciem Wilna; podobno je obchodzą, chcąc je dostać bez wystrzału. Do Słonimia też jeszcze nie doszli, Rosjanie próbowali podobno to miasto zatopić, korzystając z urządzeń kanału Ogińskiego, ale się manipulacja nie udała.

Gazety piszą, że syn cesarza Wilhelma, Joachim, uczy się pośpiesznie po litewsku i ma być ogłoszony królem litewskim!

Miło nam słyszeć, co mówią ziemianie tutejsi, a również oficerowie, o różnicy naszego ludu z białoruskim. Zachwyceni są uczciwem i delikatnem zachowaniem się naszych wygnańców, w porównaniu z Białorusinami: ci ostatni korzystają z każdej sposobności, aby rabować doszczętnie folwarki i dwory, które w swej ucieczce spotykają. Czego nie mogą wziąć ze sobą, niszczą. Podobno istne to hordy dzikich Hunnów.

Jutro wyruszymy do Borysowa, wiemy jednak od p. Grochowskiego, iż koleją podróż trwa 20 do 30 godzin, i jeszcze odbywa ją się stojący, pojedziemy więc końmi. Rano do dnia chłopiec z rzeczami naszymi pojedzie na pół drogi, do Smolewicz, my zaś ruszymy po śniadaniu i znajdziemy tam konie wypoczęte na przeprząg. Do Borysowa jest 72 wiorsty bocznej, podobno ciężkiej drogi, spodziewamy się jednak stanąć tam około 6 wieczorem.

W tej chwili zarządzający hotelu Europejskiego proponował mi bezpłatnie mieszkanie umeblowane z siedmiu pokoi, kuchni i pomieszczenia dla służby. Nie mamy już czasu go obejrzeć, a zresztą nie wiemy jeszcze, czy tu ostatecznie się osiedlimy.

17 września, Borysów. Z Mińska do Borysowa i na Smoleńsk prowadzi dalej trakt Katarzyny, zawsze wspa-

niały, ale bardzo górzysty, piaszczysty, zwłaszcza do Smolewicz, i rozjeżdżony, więc pierwsze 35 wiorst jechaliśmy 5 godzin.

Dojeżdżając do miasteczka, jechaliśmy tuż przy stacji kolei „Witgenszteiówka”, gdzie stały setki wagonów napchanych wygnańcami Białorusinami. Na otwartych platformach wznosiły się jedne na drugich dwa, a na niektórych trzy piętra chłopskich wózków, wszędzie zaś na nich i między nimi roilo się od ludzkich postaci, obdartych, brudnych, przygnębionych. Jak dawno tu stoją, a kiedy i dokąd ich los zapędzi, niewiadomo. Istna gehenna!

Zarząd kolei starał się o zmianę nazwy tej stacji, jako niemieckiej, lecz otrzymał odpowiedź, że nazwa pochodzi od jenerała, który 100 lat temu bronił Rosji od Napoleona, musi przeto być zachowana.

Mieliśmy prowianty, ale paczkę z niemi zgubiliśmy, trzeba więc było w Smolewiczach zamówić sobie jajecznicę, bułki i herbatę w żydowskim hoteliku. Mieścina nędzna, jedna właściwie ulica, mieszkańcy prawie sami Żydzi.

Ze Smolewicz do Borysowa droga nieco mniej ciężka, jednak 37 wiorst jechaliśmy 4½ godziny, a z Mińska, razem z popasem, 11 godzin, t. j. trzy razy prędzej, niż koleją.

Minęliśmy kilkuset jeńców, żołnierzy austriackich, i kilku oficerów, prowadzonych pieszo. Ludzie młodzi, zdrowi, żołnierze w humorach dobrych; oficerowie szli poważnie, a gdyśmy im się przypatrywali, spuszczaali lub odwracali głowy.

Spotkaliśmy kilka furmanek, wiozących chorych żołnierzy rosyjskich. Na wozach i na ziemi chorzy wili

się z bólu, klęcząc na czworakach, trzymając się rękami za brzuchy i jęcząc głośno: brała ich cholera; w tej samej pozycji widziałem kiedyś ludzi umierających na miserere. Trzeba było jechać kręto po trakcie, aby ich omijać. Kazałem popędzić konie, aby uciec od tego okropnego widoku.

Opodal od traktu widzieliśmy kilka dobrze zabudowanych folwarków, lecz nie było się kogo zapytać, do kogo należą. W Smolewiczach jednak dowiedzieliśmy się, że będziemy mijali majątki p. p. Świdy i Wańkowicza, a o kilku innych obywatelach Polakach dawniej słyszałem, tak więc większej własności polskiej i w Boryrowskiem nie brakuje. Zdawało mi się ongi, iż dobra Berezyńskie hr. Potockich są jakby wyspą polską wśród morza rosyjskiego, tymczasem bynajmniej tak nie jest; raczej własność rosyjska jest tu wyjątkiem.

Widząc po drodze bawiącą się gromadkę dzieci wiejskich, kazałem przystanąć i podszedłem ku nim. Nie odpowiadały na moje pytania, a gdy im ofiarowałem cukierków „landrynków”, nie chciały ich brać; dopiero gdym zapytał po rosyjsku, czy są prawosławne, odrzekły chórem: „my russkije, prawosławnyje”. Mam wrażenie, że są one sztucznie wyuczone tej odpowiedzi i napompowane nienawiścią do każdego, kto powozem jedzie, a w dodatku po polsku mówi.

Wsie tu leżą gęściej przy drodze, niż przed Mińskiem. Na każdym chłopskim gumnie stoi szeroki na 8 do 15 kroków przyrząd do przechowywania sprzętu. Między dwoma słupami pionowymi, wysokimi na 8 do 10 łokci, przeciągnięte są w poprzek żerdzie, i na tej drabinie wiesza się snopki żyta, owsa, grochu i t. d.

Dobreby to było jako letnia suszarnia, ale podobno chłopci na tych drabinach trzymają sprzęt swój całą zimę, zastępują one im stodoły.

Zbliżyliśmy się do Borysowa dopiero koło godziny 8-mej wieczorem. Panna Piętkówna, panna Stawiarska i Stefek mieszkają nie w mieście, a na przedmieściu zwanem „Dymki”, przed Borysowem, w willi należącej do jenerała Kolankowskiego, gdzie im użyczyła gościny pani Romanowa Grochowska. Noc była ciemna, żołnierzy kręciło się mnóstwo, lecz ci nas poinformować nie mogli; po obu stronach drogi widać było wiejskie domki, zaszedłem więc do jednego, w brudnej izbie zastałem całą rodzinę, do której się zwróciłem zrazu po rosyjsku, gdy w tem na ścianach ujrzałem obrazy katolickie, z napisami polskimi, przemówiłem więc po polsku; mówili dobrze, choć nieco z ruska. Za obiecany napiwek ojciec podjął się nas doprowadzić, a po drodze gawędziliśmy. Zwie się Stanisław Masiuk, jest mieszczaninem, ma na przedmieściu w Dymkach ów domek, którego połowę latem wynajmuje letnikom, przyjeżdżającym tu aż z Piotrogradu, dla lasów sosnowych i zdrowego, suchego położenia. Wynosił pod niebiosą teraźniejszego dziekana borysowskiego, kanonika Hurkę. Poprzedni dziekan, twierdził Masiuk, w porozumieniu z popem urządzał przepisywanie katolików na prawosławnych w księgach parafjalnych, i wogóle dążył do zagłady całej parafji. Dopiero dzielny ksiądz Hurko temu kres położył; z początku musiał toczyć ostrą walkę z miejscowymi władzami, ostatecznie nie dał się pokonać, i teraz parafja stoi coraz lepiej. Obejmuje ona około 900 dusz. Po wsiach katolików niema, tylko w mieście i po folwarkach. Zdążył nam to wszystko Masiuk opowie-

dzieć z wieloma szczegółami, prowadząc nas zaledwie przez pół wiorsty.

W willi nas oczekiwano oddawna, przyjazd więc nasz wywołał wielkie wykrzykniki i wzajemną uciechę. Zastaliśmy wszystkich w dobrym zdrowiu. Jenerał Kolankowski jest teściem p. Michała Jastrzębskiego, brata pani Grochowskiej. Willa jego jest zbytownie urządzona, otoczona ogrodem, mamy więc warunki doskonałe, niemniej uważamy, iż pozostać tu na zimę nie możemy. Dla Stefka niema nauki, a dla nas żadnego zajęcia społecznego, gdy tyle dla Polaków stoi go w Rosji otworem. Jedna p. Stawiarska znalazła zajęcie jako siostra miłosierdzia w ambulansie Polskiego Czerwonego Krzyża, na stacji kolei w Borysowie, ona więc tu pozostanie.

Dalej na wschód jechać nie mamy już żadnej chęci, decydujemy się przeto na Mińsk, czy go wezmą Niemcy, czy nie. Zatelegrafowałem, iż bierzemy owo bezpłatnie nam ofiarowane mieszkanie.

Nie wychodziłem od rana, pogoda bowiem była brzydka, a nadewszystko, znalazłszy się tu z dwojgiem moich dzieci, pp. Piętkówną, Stawiarską i Grochowską, napawam się niedoznanem od wielu tygodni uczuciem domowego spokoju i swojskiej, naszej atmosfery. Pana Grochowskiego nie zastaliśmy, wyjechał bowiem właśnie do Moskwy i Riazania, starać się o wypłatę swych odszkodowań.

Przed wieczorem dopiero poszedłem nad Berezyne; właściwa rzeka jest o tej porze roku wąziutka, kręta, ale łożysko jest bardzo szerokie, porośnięte trawą, pokrajane strumykami, albo upstrzone jakby sadzawkami. Most drewniany ma długości najmniej pół wiorsty. Długi

czas stałem na nim, a w wyobraźni mej przesuwalo się to, co z opisów i obrazów wiemy o strasznych przejściach Wielkiej Armji Napoleona, przed stu laty, u przeprawy przez tę rzekę.

Przebiegiem też myślą całą naszą, iście fantastyczną wyprawę, ze służbą i inwentarzem, od Narwi aż do Berezyny i Dniepru, albowiem do tej ostatniej rzeki dojść ma nasza służba. Zdawałoby się, iż w XX wieku, w Europie, nic podobnego nie jest już możliwe. A zanosi się na to, że i tutaj dotrą za nami wojska Wilhelma. Moment teraźniejszy jest niewątpliwie jednym z najdonioślejszych w dziejach świata. Wieki całe, dziesiątki wieków wspominać go i skutkami jego żyć będą.

Prawy brzeg rzeki jest stromo górzysty, a na tych piaszczystych pagórkach rozkłada się szereg willi, chat i zabudowań gospodarskich. Lewy brzeg też wyniosły, na nim widać miasto Borysów, kościół katolicki, cerkiew i wielki, wysoki gmach, na jasno-pomidorowy kolor pomalowany, ongi pałac ks. Radziwiłłów, obecnie więzienie. Dokoła Borysowa rozlegają się olbrzymie lasy, nabyte od Radziwiłłów przez Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, teraźniejszego Zwierzchniego Wodza.

Wracając, spotkałem swe dzieci, i razem poszliśmy obejrzeć jeden z okopów, usypanych w 1812 roku przez generała Czyczagowa, w chwili zwycięskiego pochodu Napoleona. Duży czworobok, otoczony głęboką fosą, z której ziemia, odrzucona do środka, tworzy wał; po rogach cztery zjazdy, z ziemi usypane, prowadzą do wewnętrznego wgłębienia; obok każdego zjazdu, wewnątrz okopu, dwie duże platformy do armat. Wielka Armja przeszła o kilkanaście wiorst od Borysowa, okopy te więc do obrony, zdaje się, nie posłużyły. Czy posłużą

w 1915 lub 1916 roku? Obecnie zarośnięte są rzadkim około 60-cio letnim sosnowym lasem.

Przyszły dziś niespodziewane wieści, podjazdy niemieckie miały się pokazać o niecałe 50 wiorst od Borysowa. Jeśli to prawda, Niemcy obchodzą Mińsk daleko od północy, jak uczynili z Warszawą, Białymstokiem, Wilnem i t. d. Trzeba nam się spieszyć do Mińska!

18 września. Coraz lepiej! Niemcy są podobno tylko o 38 wiorst na północ do Borysowa. Obyśmy na czas dostali się do Mińska. Stefek i ja jedziemy jutro raniutko ekstrapocztą, p. Piętkówna i Madlenka wyjadą naszym powozem później, bo wypadnie im zanoć w Smolewiczach. Oprócz własnego wozu, musimy nająć drugi dla kucharki, pokojówki i pod resztę rzeczy.

W kasie powiatowej ścisk, gwałt. Niema pieniędzy, na książeczki wkładowe wydają tylko część pieniędzy. Gospodyni generała Kolankowskiego na 3000 rb., które ma w kasie oszczędności, dano 100 rb. Co chwila oficerowie, przybywający po pieniądze dla armji, odchodzą z niczem, wymyślając. Mnie wypłacono, po wielkich targach, 1000 rb., na poczet przekazu na 30.000 rubli, a na resztę musiałem wziąć przekaz na Mińsk, jutro bowiem niedziela, w poniedziałek zaś kasy już tu zapewne nie będzie, a chociażby była, pieniędzy mieć nie będzie. Niewiadomo jednak, czy i w Mińsku jeszcze Bank Państwa zastanę i pieniądze odebrać zdążę.

W mieście panika niesłychana, mieszkańcy drżą jedni przed Niemcami, drudzy przed Kozakami. Dawny wspa-
niały pałac radziwiłłowski widziałem jedynie zdaleka, ale w licznych innych gmachach i domach jaśniej i tu wpływ renesansu. Jak tylko daleko dosięgły granice Polskiej Rzeczypospolitej, potąd była Europa! A teraz co?

Gdy czmychnie przed Niemcami zgraja czynowników, kto zostanie? W całym mieście jeden podobno jest tylko sklepik polski, norymbersko-spożywczy, zresztą sami Żydzi, z wyjątkiem Kacapa, handlującego kielbasą.

Wieści o Niemcach są, zdaje się, przesadzone. W każdym razie jednak nie mamy czasu do stracenia. Biuro pocztowe opuszcza też Borysów jutro. Obawiam się, że byłoby nasze, idące ze Stańkowa, nie zdąży się tedy przedostać! Niestety czekać tu na nic nie mogę.

Przeszły tu dziś dwie partje jeńców niemieckich, po kilkuset ludzi każda. Wogóle jeńców, w Mińsku i po drodze, spotykaliśmy wielu, lecz zawsze Austriaków; dzisiejsi są pierwszymi Niemcami, których widziałem od wyjazdu z Suska.

Nasze sanitarjuszki stwierdziły na stacji, że urzędnik Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw, zapisujący przybywających zbiegów, na utrzymanie których Związek asygnuje 16 kop. dziennie na głowę, podał na jednym tylko pociągu o 300 ludzi więcej. Pociągów takich wszystkimi kolejami idą masy, jakie to więc sumy już tylko z tego jednego, skromnego źródła, płyną do kieszeni złodziei!

Setki ludzi zapędzono do robienia okopów w okolicy Borysowa. Przerabiają te z 1812 roku, ale nie było już czasu iść zobaczyć, w jaki sposób.

19 *Września. Mińsk.* Wyjechaliśmy, Stefek i ja, wczoraj z Borysowa t. zw. ziemską pocztą, o 8-ej rano. Bryka na resorach, we 3 konie zaprzężona; na koźle, obok pocztyljona, przyjechał z nami syn poczthaltera. Deszcz, wiatr i zimno przenikliwe. Mając tylko lekki kapelusz, chciałem sobie na odjezdnem sprawić barankową czapkę w Borysowie; prawdziwej karakułowej nie

było, za imitację najlepszą i najdroższą, jaką znalazłem, zapłaciłem 1 rb. 60 kop. Równocześnie za pud owsa płaci się tam 2 rb. 20 kop. To się nazywa przeszacowanie wartości.

Stanęliśmy tu o 7½ wieczorem. Jechaliśmy bardzo ostro, ale straciliśmy parę godzin w drodze, najpierw przez pociąg wojskowy, który urządził sobie postój na samem skrzyżowaniu gościńca i toru kolejowego, następnie przez spotkane obozy i piechotę. W Smolewiczach popasaliśmy 2½ godziny. Panika i tam panuje nieopisana, opowiadają niestworzone rzeczy o Borysowie i o Mińsku, jakoby jedno i drugie miasto Niemcy już ostrzeliwali, z ładu i z powietrza, i mieli je zająć lada chwila. Podczas naszego popasu w zajeździe, nadjechała jakaś rodzina obywatelska, zdaje się z Radomskiego: uciekli z Mińska, a tu im opowiedziano, że w Borysowie jeszcze gorzej. Nie wiedzieli co począć; uspokoiłem ich, jak mogłem.

Od syna poczthaltera, naturalnie Żyda, ale eleganczkiego, w kaloszach i z parasolem, dowiedziałam się w drodze, że Ziemstwo płaci im rocznie na każdego konia pocztowego 430 rb., muszą zaś trzymać koni 25. Obowiązani są na każde żądanie dostarczyć konia i bryczkę do najbliższej stacji pocztowej, po 3 kop. od konia i wiorsty, urzędnikom i wojskowym, o ile okażą odpowiednie polecenie swej władzy. Dla osób prywatnych niema taksy, i nie jest obowiązany poczthalter koni im dawać. Ja musiałem zapłacić za 72 wiorsty, za 3 konie, 40 rb.; podług taksy urzędowej wypadłoby 6 rb. 48 kop. N. b. poczta borysowska obowiązana jest dowozić osoby urzędowe tylko do Smolewicz, gdzie jest też stacja. Pod rzeczy zgodziłem zrazu mieszczanina borysowskiego za 20 rb., ale ten się zrzekł, więc pojechał jednym koniem Żyd za 30

rb. Ten również się wahał, bo go inni straszili, że już nigdy rodziny swej nie zobaczy.

W hotelu Europejskim znaleźliśmy numer, zamówiony przez p. Pilawitza, do którego w tym celu telegrafowałem z Borysowa. Właściwie numeru nie było ale były uczynione przygotowania do wyrzucenia dla nas jednego gościa, dystyngowanego Żyda, któremu oświadczono, że pokój jego potrzebny jest dla pułkownika. Kosztowała mnie oczywiście ta operacja kilka rubli. Stąd mamy się przeprowadzić do mieszkania.

Nareszcie, po półtora miesiąca trwającej podróży, osiadamy tu na stałe. Jak długo zabawimy? Może kilka tygodni, jeśli nas zagarną wkrótce Niemcy, a może rok i więcej.

Z Suska do Borysowa przejechaliśmy 617 wiorst, z powrotem do Mińska znów 72, razem 689 wiorst. Gdy pomyślę, jaką podróżą wydawało mi się niedawno jechać końmi 33 wiorsty z Suska do Łomży, i jak tę drogę zawsze odczuwałem, zdaje mi się nieprawdopodobnem, abym przejechał prawie 700 wiorst i żył jeszcze. Konie też zdały egzamin wspaniały. Coprawda obroku im nie żałowałem, dostawały w drodze 20 do 25 funtów owsa dziennie każdy, na dłuższych postojach po 15 do 20 funtów, przytem siana, ile się dało zdobyć, a spać nie poszedłem nigdy, póki koni nie ulokowałem i nie zaopatrzyłem. Ale nietylko szły ostatnią wiorstę, jak pierwszą, lecz nie schudły zupełnie, i wszędzie budziły podziw swym kwitnącym wyglądem. W powozie szły od początku do końca klacz 8 letnia po pełnej krwi ogierze „Palermo” i klaczy arabo-perszeronce, oraz wałach trakeński, nabyty podczas wojny, a zapewne zrabowany w Prusach Wschodnich. Rzeczy wiozły aż do Snowa perszerony, lecz ponie-

waż zostawały wiecznie w tyle, zamieniliśmy je tam na inną parę naszych kłaczy, pół krwi angielskiej, niedużych, lecz nerwowych i chodliwych. O ileby Niemcy niedługo Mińsk wziąć mieli, będą konie trzymał. Tak odwykłem od kolei, iż podróż wagonem wydaje mi się jakimś snem niesłychanie dalekim. Gdybym się pozbył koni, zdawałoby mi się, że zrywam komunikację ze światem.

Podobno Wilno zostało dwa dni temu zajęte przez Niemców. Jedni mówią, iż miasto nie ucierpiało zupełnie, inni, że zwłaszcza przedmieścia są silnie uszkodzone przez pociski.
